LUCYAN RYDEL

UTWORY
DRAMATYCZNE

TOM II.

KRAKÓW, 1902 R.

UTWORY DRAMATYCZNE LUCYANA RYDLA OBEJMUJĄ W TOMIE DRUGIM: I. JEŃCY (3 AKTY). II. PROLOG. III. EPILOG. IV. NA MARNE (1 AKT).

NAKŁADEM KSIĘGARNI D. E. FRIEDLEINA W KRAKOWIE POD KIEROWNICTWEM JÓZEFA MÜNNICHA. o RYSUNKI A. S. PROCAJŁOWICZA. o CZCIONKAMI DRUKARNI LITERACKIEJ POD ZARZĄDEM L. K. GÓRSKIEGO W KRAKOWIE, PRZY ULICY JAGIELLOŃSKIEJ L. 10. o SKŁADAŁ ANTONI KWICZALA. DRUK. KAZIMIERZ SOŁTYKOWSKI.

JEŃCY.



LUCYAN RYDEL

UTWORY
DRAMATYCZNE

TOM II.

KRAKÓW, 1902 R.

UTWORY DRAMATYCZNE LUCYANA RYDLA OBEJMUJĄ W TOMIE DRUGIM: I. JEŃCY (3 AKTY). II. PROLOG. III. EPILOG. IV. NA MARNE (1 AKT).

NAKŁADEM KSIĘGARNI D. E. FRIEDLEINA W KRAKOWIE POD KIEROWNICTWEM JÓZEFA MÜNNICHA. O RYSUNKI A. S. PROCAJŁOWICZA. O CZCIONKAMI DRUKARNI LITERACKIEJ POD ZARZĄDEM L. K. GÓRSKIEGO W KRAKOWIE, PRZY ULICY JAGIELLOŃSKIEJ L. 10. O SKŁADAŁ ANTONI KWICZALA. DRUK. KAZIMIERZ SOŁTYKOWSKI.

JEŃCY.



WICHNA

(przez łzy)

Tyś od samego rana
łańcuchem przykowana,
musisz obracać żarna,
łańcuch się w ciało wpił —
hej dolo, dolo, dolo!
hej dolo nasza czarna!

ŚWITYNA

Pognali nas w niewolą
na łzy, na znój, na głód,
żałują chleba z solą,
rzemieniem krwawią ciało...
Oj nie tak, nie tak wprzód
u matki nam bywało —
hej dolo nasza, dolo!

WICHNA

Pognali nas, pognali
na mękę dniem i nocą,
na żałość, na sierocą...
Ani się kto użali,
ni dobre słowo powie —
hej dolo, gorzka dolo!

ŚWITYNA

I kiedyż nas bogowie
Z niewoli tej uzwolą?!
Hej dolo, ty macocho,
ty opłakana dolo!

WICHNA

A któż tam radli sochą
oćcową naszą rolą
gdy ociec w ziemi leży?
A któż tam u wieczerzy
krząta się w izbie białej,
kto w ogniu wianki święci —
gdy nie masz już macierzy?!

ŚWITYNA

Ich kości już zbielały,
nie ostał ino cień —

WICHNA

Wciąż pomnę ich... wyrżnięci!
wybici... wszyscy w pień!

ŚWITYNA

(palec kładąc jej na ustach)

O nie mów, serce krwawi.

WICHNA

Ja pomnę ich, Śwityno.

ŚWITYNA

Smętne duchy w on dzień
ustoma wyszły z ciał
i nad chmurami płyną,
jako łańcuch żurawi,
co się w powietrzu pławi —
a Światowid im dał
kraj żywny, kraj nowy!

WICHNA

Tam Niemców nie ma?

ŚWITYNA

Nie ma!
Tam się ciągiem zielenią dąbrowy,
tam z łukiem, z pękiem strzał
duchy idą na łowy,
a Światowid na przedzie,
— bóg z twarzami czterema,
na siwym koniu jedzie...

WICHNA

Tam Niemców nie ma?

ŚWITYNA

Nie ma!
Tam zawdy gotowy
Stoi stół godowy

i złocistą rzeką
słodkie miody cieką,
tam urodne dziewki
na łąkach płótno bielą
— haj! cieniusieńkie płótno!
i wyciągają śpiewki
to wesoło, to smutno...
W złotym sadzie z kądzielą
siedzą tam białegłowy,
długie wiodą rozmowy
i wiecznie się weselą,
a naśród nich — Marzana,
bogina zadumana
siedzi milcząca, niema,
między córkami dwiema
i włos im czesze płowy...
To kraj Dziw-Cud! Kraj nowy!

WICHNA

Tam Niemców nie ma!

ŚWITYNA

Nie ma!

WICHNA

Mów! zali my tam pójdziemy
na łąkę, hen — do Marzany,

do tej milczącej, do niemej,
do białej, do zadumanej?
w kraj nowy? w kraj Dziw-Cud?
O, mów, Śwityno — mów!

ŚWITYNA

Kto idzie tam, ten musi wprzód
zmartwieć od stóp do głów
i zgorzeć na stosie,
aż duch uleci zeń w dymie
na wschód! ku słońcu! na wschód!
I pójdzie po łzawej rosie
przez dolinę wiecznych snów,
gdzie nawet wicher drzymie...
a potem zasię przejdzie w bród
przez siedm cichych wód
i musi przejść przez siedem gór,
nad morze, nad olbrzymie —
tam w głębiach Wodnic chór
zawodzi jego imię;
czeka tam stary Nija,
przewójca dusz skrzydlaty,
we skrzydła go zawija,
we skrzydła z orlich piór
i niesie go w zaświaty
po moście z jasnej tęczy

a morze w dole jęczy
a w piany się rozbija...
Na ostrów pośród słonych wód
niesie go stary Nija,
a gdy go stawi na ostrowie,
przychodzą witać go przodkowie,
przychodzi cały ród...
i wieniec kładą mu na głowie
i miodem piją jego zdrowie
bo wstąpił w Kraj Dziw-Cud!

WICHNA

Tam bracia przydą? ociec? macierz?!

GERTA

(wybiega z dworca)

Pogwarki? znów pogwarki?!
a rzemień ten mój znacież,
pogańskie wy mitręgi?
Zgoiły wam się karki?
już zeszły sine pręgi?
Nie chcecie ziarna mleć!
nie chcecie rąbać drew!
— Mam darmo dać wam żreć?!
...A cięgi! cięgi! cięgi!
aż z ramion tryśnie krew...

(przykutą do żaren Świtynę chwyciła za warkocz i bije

rzemiennym pasem; Wichna rzuca się między Gertę a siostrę... W dali trąby grzmią odległym głosem, odpowiadają im surmacze nad bramą)

GERTA

(na odgłos trąb przestaje katować Świtynę)

Wracają... Nuże! żywo!
w skok biegaj na podsienie,
pal ogień, warz mięsiwo...

(do Wichny)

Noś wodę do kąpieli,
pogańskie psie nasienie!

(do nieruchomej Śwityny)

Jeszcze tu stoisz, kłodo?!

ŚWITYNA

(spokojnie na swój łańcuch wskazuje)

Trza—łańcuch byście zjęli...

GERTA

(łańcuch zdejmuje z gniewem)

Milczeć, słowiańskie szczenię!

(do Wichny dźwigającej wodę ze studni)

Ty kukło! Raźniej z wodą!

(wynosi z dworca dzban piwa i stawia u podsienia. Tuż za broną ryki trąb i głuchy tupot kopyt końskich — brona podnosi się zwolna. Wjeżdża garść niemieckich rycerzy w blachach pokrytych kurzawą i krwią. Przy

każdym pachoł pieszy, wiodący konia za uździenicę, a drugą ręką niosący tarczę. Na czele Hado. U siodła jego na pętli za szyję przytroczony, wlecze się Dembiec, lirny ślepiec, siwy i bosy. Ręce powrozem w tył skrępowane, głowa zwieszona, od karku zwisa mu na rzemiennym pasie wielka lipowa lira. Rycerze wjeżdżają na przyległy dziedziniec; głosy ich zmięszane i szczękanie zdejmowanych blach słychać długo. Hado zsiada z konia u brony, pachoł jego Wolfrich odprowadza rumaka za innymi. Dembiec zostaje w głębi, u brony, która zasuwa się powoli. Śwityna i Wichna od swych prac przyzierają mu się zdala wzruszone i zdziwione)

GERTA

(przystępuje do Hadona. Powitanie. Spostrzega zbroję ukrwawioną)

Rannyś?

HADO

To krew z ich ran,
podła, słowiańska krew:
dokoła cały kraj
posoką taką zlan...

GERTA

(rozpromieniona)

Tyś mąż mój, tyś mój lew!

HADO

(szorstko)

Pić, Gerta — pić mi daj.

(zdejmuje hełm)

GERTA

(nalewając)

Wyniosłam piwa dzban,
pij zdrowo – panie mój.

(Hado pije)

Utrudzon jest mój pan:
na czole zasechł znój,
na zbroi krew i kurz...
przy studni w chłodzie siądź,
zdejm pancerz, blachy złóż...

HADO

(siada na cembrowaniu studni)

Gdzie Wolfrich?!

GERTA

Zbroję zjąć?

(do Wichny, która z głębi nadeszła z próżnemi konwiami u jarzma na karku)

Dziewko, pójdź — panu służ!

HADO

(rozkracza i wyciąga przed siebie opancerzone nogi)

Odpinaj blachy z nóg...

WICHNA

(przyklęka by zdejmować nagolenniki. Nagle wzdryga się, cofa ze zgrozą ręce od nóg Hadonowych i jęczy, zasłaniając oczy)

Krew... krew!... Och tylo krwie!
tylo krzepnących strug!

HADO

Precz, głupia!

(odtrąca ją nogą. Wichna z klęczek pada na ziemię i płacze cicho)

ŚWITYNA

(z pod hyzu przybiega)

Jest nas dwie —
ja zdejmę...!

HADO

(odpycha Świtynę kułakiem)

pójdzież won!?

(ogromnym głosem krzyczy w stronę drugiego dziedzińca)

Wolfrich!!

GERTA

(wygrażając pięścią Świtynie)

Ty! Bóg cię skarz!
Czego tu? jadło warz
A zbroję zdejmie on.

(ukazuje na Wolfricha nadbiegającego od stajen i wraz z nim odchodzi szybko do dworzyszcza za Hadonem)

ŚWITYNA

(pojźrawszy za odchodzącymi podnosi siostrę)

Wichno moja, siestrynko jedyna!...

WICHNA

(tuli się do niej z płaczem)

W białym dworcu naszego rodzica
lepiej było — stokroć lepiej — psom!

ŚWITYNA

(wyciąga pięść ku dworcowi)

Klątwa na nich i czarna godzina!

(klęka nagle, ziemię przed sobą zgarnia i klęcząc wznosi ją w obu dłoniach wysoko ponad głową. Straszna jest ze zbielałą twarzą i pałającemi oczyma; głosem ochrypłym i syczącym poczyna zawodzić)

Ciebie wołam, Pioruna-Bożyca,
na ich głowy czerwony rzuć grom!
— Słysz, Pomoro, śmiertelna Bogina,
trupią rękę swą kładź im na lica!
— Słysz Martwicho, nocna Upiorzyca,
przyjdź i serca ich wyżrej, o sina!
— Pomsty! pomsty naszym gorzkim łzom!
klątwa, strata — zatrata w ich dom!
klątwa na nich i czarna godzina!
klątwa na nich i biada — przebiada
z ziemi, z wiatru i z nieba niech pada...
Hej! Pomora! Martwicha! i Grom!

(Ziemię, którą trzymała w dłoniach ponad głową — wyrzuca na wiatr, ku niebu i wstaje)

DEMBIEC

(w głębi u brony)

Klątwa na nich i czarna godzina!
i Pomora, Martwicha i Grom!

(obie dziewczęta na głos dziada obracają się ku niemu; W tej chwili w progu dworzyszcza staje Wolfrich z tarczą i młotem wojennym Hadona)

WOLFRICH

Nuże dziewki, brać jadło do stoła!
zaczem kubki na wino trza myć...

(trzykroć uderza młotem o tarczę i woła mocnym głosem)

Pójdźcie mięsiwo jeść, rumiane wino pić.
do jadła wódz was woła!

(dziewczęta z nalepy zdejmują sagan z jadłem, dymiący i niosą za ucha do dworzyszcza. Zaraz potem rycerze kupą wychodzą z drugiego dziedzińca. Rozodziani ze zbroic i hełmów, w łosiowych miękkich opończach, z gołemi głowami przechodzą do dworca gwarząc, śmiejąc się, pokrzykując. Niektórzy grudami ziemi rzucają w stronę Dembca, inni urągliwie wskazują nań rękoma i szydzą).

AKT II.

AKT II.

ŚWITYNA
(półgłosem do Wichny pozierając ku Dembcowi)

Ja wiem, co zacz on lirny dziad...
pamiętasz go w dworcu naszego rodzica?
ociec go zawdy witał rad —

WICHNA

Nie pomnę dobrze, lecz te lica
zaschnione, zwiędłe znam
i rozwichrzoną brodę białą...

ŚWITYNA

Ono mi się nie majaczy, nie śni!
radość była, gdy przychodził k'nam:
— O, Łado, Koładо, Kupało!
...Pamiętam i dziada i pieśni,
pamiętam, gorzała sobótka,
powietrze od krzyków huczało:
O, Łado, Kołado, Kupało!
— Ty nie wiesz, ty byłaś malutka...
A potem zaś krzyki ucichną,
on śpiewał, a lira mu w śpiewie
wtórzyła... Pamiętasz to, Wichno?

WICHNA

Jak sen mi się coś odpomina:
pamiętam ogromne zarzewie...

ŚWITYNA

to było zarzewie sobótek

WICHNA

pamiętam i lirę... dziecina,
myślałam, że w liry tej drzewie
zamkniona jest dusza, co smutek
i ból srogi cierpi, a jęczy,
a dziad, kiedy gra — to ją męczy...

ŚWITYNA

Stań, miła, przy studni na straży,
a ja mu dam napić się warzy

(bierze naczynie gliniane z nalepy i podchodzi do ślepca)

Pijcie stareńku złoty,
ku dzbanu schylcie głowy...
pijcie stareńku...

DEMBIEC

Kto wy?

ŚWITYNA

Niewolne my sieroty —

(Dembiec pije z dzbana, który mu Swityna przy ustach trzyma)

My gdzieś was niegdy znały,
w oćcowym dworze pono,
nad Łabą, nad zieloną...
Kto wy, stareńku biały?

DEMBIEC
(odjąwszy usta od dzbana)

Ja? — Ślepiec ubogi,
lipową gęślę niosę,
do krwie schodziłem nogi,
te stare nogi bose...
Po świecie białym chodzę,
a noc na mojej drodze
i czarno i ciemno
za mną i przedemną
dokoła!
Idę we świat, w daleki —
od sioła do sioła,
przez góry i rzeki,
przez bory i pola,
dżdże sieką i palą mnie spieki...
— taka już moja dola!
Chodzę, chodzę z siół do siół,
sadzają mnie śród pasieki,
kędy pełno brzęku pszczół,
abo na pośród sadu,

WICHNA

Jak sen mi się coś odpomina:
pamiętam ogromne zarzewie...

ŚWITYNA

to było zarzewie sobótek

WICHNA

pamiętam i lirę... dziecina,
myślałam, że w liry tej drzewie
zamkniona jest dusza, co smutek
i ból srogi cierpi, a jęczy,
a dziad, kiedy gra — to ją męczy...

ŚWITYNA

Stań, miła, przy studni na straży,
a ja mu dam napić się warzy

(bierze naczynie gliniane z nalepy i podchodzi do ślepca)

Pijcie stareńku złoty,
ku dzbanu schylcie głowy...
pijcie stareńku...

DEMBIEC

Kto wy?

ŚWITYNA

Niewolne my sieroty —

(Dembiec pije z dzbana, który mu Swityna przy ustach trzyma)

My gdzieś was niegdy znały,
w oćcowym dworze pono,
nad Łabą, nad zieloną...
Kto wy, stareńku biały?

DEMBIEC
(odjąwszy usta od dzbana)

Ja? — Ślepiec ubogi,
lipową gęślę niosę,
do krwie schodziłem nogi,
te stare nogi bose...
Po świecie białym chodzę,
a noc na mojej drodze
i czarno i ciemno
za mną i przedemną
dokoła!
Idę we świat, w daleki —
od sioła do sioła,
przez góry i rzeki,
przez bory i pola,
dżdże sieką i palą mnie spieki...
— taka już moja dola!
Chodzę, chodzę z siół do siół,
sadzają mnie śród pasieki,
kędy pełno brzęku pszczół,
abo na pośród sadu,

WICHNA

Jak sen mi się coś odpomina:
pamiętam ogromne zarzewie...

ŚWITYNA

to było zarzewie sobótek

WICHNA

pamiętam i lirę... dziecina,
myślałam, że w liry tej drzewie
zamkniona jest dusza, co smutek
i ból srogi cierpi, a jęczy,
a dziad, kiedy gra — to ją męczy...

ŚWITYNA

Stań, miła, przy studni na straży,
a ja mu dam napić się warzy

(bierze naczynie gliniane z nalepy i podchodzi do ślepca)

Pijcie stareńku złoty,
ku dzbanu schylcie głowy...
pijcie stareńku...

DEMBIEC

Kto wy?

ŚWITYNA

Niewolne my sieroty —

(Dembiec pije z dzbana, który mu Swityna przy ustach trzyma)

My gdzieś was niegdy znały,
w oćcowym dworze pono,
nad Łabą, nad zieloną...
Kto wy, stareńku biały?

DEMBIEC
(odjąwszy usta od dzbana)

Ja? — Ślepiec ubogi,
lipową gęślę niosę,
do krwie schodziłem nogi,
te stare nogi bose...
Po świecie białym chodzę,
a noc na mojej drodze
i czarno i ciemno
za mną i przedemną
dokoła!
Idę we świat, w daleki —
od sioła do sioła,
przez góry i rzeki,
przez bory i pola,
dżdże sieką i palą mnie spieki...
— taka już moja dola!
Chodzę, chodzę z siół do siół,
sadzają mnie śród pasieki,
kędy pełno brzęku pszczół,
abo na pośród sadu,

WICHNA

Jak sen mi się coś odpomina:
pamiętam ogromne zarzewie...

ŚWITYNA

to było zarzewie sobótek

WICHNA

pamiętam i lirę... dziecina,
myślałam, że w liry tej drzewie
zamkniona jest dusza, co smutek
i ból srogi cierpi, a jęczy,
a dziad, kiedy gra — to ją męczy...

ŚWITYNA

Stań, miła, przy studni na straży,
a ja mu dam napić się warzy

(bierze naczynie gliniane z nalepy i podchodzi do ślepca)

Pijcie stareńku złoty,
ku dzbanu schylcie głowy...
pijcie stareńku...

DEMBIEC

Kto wy?

ŚWITYNA

Niewolne my sieroty —

(Dembiec pije z dzbana, który mu Swityna przy ustach trzyma)

My gdzieś was niegdy znały,
w oćcowym dworze pono,
nad Łabą, nad zieloną...
Kto wy, stareńku biały?

DEMBIEC
(odjąwszy usta od dzbana)

Ja? — Ślepiec ubogi,
lipową gęślę niosę,
do krwie schodziłem nogi,
te stare nogi bose...
Po świecie białym chodzę,
a noc na mojej drodze
i czarno i ciemno
za mną i przedemną
dokoła!
Idę we świat, w daleki —
od sioła do sioła,
przez góry i rzeki,
przez bory i pola,
dżdże sieką i palą mnie spieki...
— taka już moja dola!
Chodzę, chodzę z siół do siół,
sadzają mnie śród pasieki,
kędy pełno brzęku pszczół,
abo na pośród sadu,

WICHNA

Jak sen mi się coś odpomina:
pamiętam ogromne zarzewie...

ŚWITYNA

to było zarzewie sobótek

WICHNA

pamiętam i lirę... dziecina,
myślałam, że w liry tej drzewie
zamkniona jest dusza, co smutek
i ból srogi cierpi, a jęczy,
a dziad, kiedy gra — to ją męczy...

ŚWITYNA

Stań, miła, przy studni na straży,
a ja mu dam napić się warzy

(bierze naczynie gliniane z nalepy i podchodzi do ślepca)

Pijcie stareńku złoty,
ku dzbanu schylcie głowy...
pijcie stareńku...

DEMBIEC

Kto wy?

ŚWITYNA

Niewolne my sieroty —

(Dembiec pije z dzbana, który mu Swityna przy ustach trzyma)

My gdzieś was niegdy znały,
w oćcowym dworze pono,
nad Łabą, nad zieloną...
Kto wy, stareńku biały?

DEMBIEC
(odjąwszy usta od dzbana)

Ja? — Ślepiec ubogi,
lipową gęślę niosę,
do krwie schodziłem nogi,
te stare nogi bose...
Po świecie białym chodzę,
a noc na mojej drodze
i czarno i ciemno
za mną i przedemną
dokoła!
Idę we świat, w daleki —
od sioła do sioła,
przez góry i rzeki,
przez bory i pola,
dżdże sieką i palą mnie spieki...
— taka już moja dola!
Chodzę, chodzę z siół do siół,
sadzają mnie śród pasieki,
kędy pełno brzęku pszczół,
abo na pośród sadu,

stawiają miód i kołacze
przedemną na stół
i mówią mi: — śpiewaj dziadu!
— Ja im śpiewam i śpiewam... a płaczę,
śpiewam to, co lud w swem sercu czuł...
W moich pieśniach jest szum
puszcz, które wicher gnie
i zapomnianych dum
głos, który słyszę w śnie,
jest w nich sierocy płacz
jest w nich niewoli jęk
i rdzawych mieczów szczęk...
Już ano wiesz — ktom zacz.

ŚWITYNA

A pomnicie wy knęzia Olszana?

DĘBIEC

co knęziował Moraczanom sławnie?
— Nie mam pomnieć?!—Siłakroć do rana
słuchał pieśni na swym dworcu w Pławnie...

ŚWITYNA

przyśli Niemce na białe dworzyszcze...

DEMBIEC

(przerywa)

sześć lat będzie... niedawno... niedawno...

ŚWITYNA

lud wybili i zażegli Pławno
ino trupy ostały a zgliszcze...

DEMBIEC

Knęź był ubit...

ŚWITYNA

My dziewki nie cudze:
Olszanowe i Wilicy knęzi
— Niemcom służym w najlichszej posłudze!

DĘBIEC

Wy? u Niemców?... Knęziówny?... w uwięzi?!

WICHNA

(przysłuchując się z daleka rozmowie, stała na straży pod studnią, pozierając do wnętrza domu)

Ktoś hań wyszedł do sieni...

ŚWITYNA

(usunąwszy się od Dembca, cofa się razem z Wichną najdalej od dworzyszcza, pod ścianę stajen)

to Hado...
za nim Wolfrich...

WICHNA

(szeptem)

już staje u hyza...

ŚWITYNA

(szeptem)

sklaskuje rękoma swe chłopy...

(na klaskanie Hadona wypadają pachoły z drugiego dziedzińca. Dziewczęta wylęknione przylepiają się do ściany stajennej. Hado, groźny, zaczerwieniony trunkiem wskazuje ręką na Dembca: pachoły chwytają lirnika i w ślad za Hadonem wloką go do szopy w głębi)

WICHNA

(ze zgrozą)

Patrz, wloką starego do szopy...

(Wolfrich wchodzi ostatni do szopy i dźwirze za sobą przywiera. Cisza. Obie branki osłupiałe tulą się ku sobie. Po chwili Śwityna skrada się ku szopie, dając Wichnie znaki, żeby za nią nie szła. Sama przez szczelinę w chruście zaziera do wnętrza i patrzy długo)

ŚWITYNA

(odjąwszy oczy od szczeliny, drżącym szeptem mówi odwrócona)

Na ziemi... na ziemi go kładą,
pytają, on wargi zagryza

(znowu zaziera a potem szepce)

dybami skleszczyli mu stopy,
wieszają go w górze... za ręce

(zaziera i szepce odwróciwszy się ku Wichnie)

na sznurach pod belkę z nim jadą
i pełna ich przekleństw jest szopa...

WICHNA

(pchana tajemniczą siłą przerażenia, zbliża się do szopy jakby niesamowolnie i zaziera przez szczelinę)

ŚWITYNA

(chce ją odciągnąć)

Nie... nie trza przyzierać się męce...!
nie... nie trza!...

(Wichna długo patrzała — nagle odwraca się: na twarzy jej szalona odraza i blady strach; biegnie przed siebie na oślep, jakby uciekała: usta wykrzywione, oczy rozwarte od zgrozy. Śwityna biegnie za nią. Wichna chwyta się za głowę rękoma i szybko, zdławionym szeptem mówi na pół nieprzytomna)

WICHNA

Okropa... okropa!
kość każda w nim trzeszczy i zgrzyta...
och... stary, uwieszon u belki,
wciąż milczy... a Hado wciąż pyta!
— Widziałam... krwi czarne kropelki
z ust wyszły, po brodzie mu ciekły...
twarz, trupią sinością okryta,
kościała... od męki, od wielkiej...
a wargi ni słowa nie rzekły!

ŚWITYNA

(chwyta ją za ręce i uspokaja)

Już nie mów... drżysz cała od zgrozy

— O, Wichno! niemiecki wilk wściekły
napastwi się nad nim do syta,
lecz na nic ich kleszcze, powrozy!

WICHNA

O! włosy mi cierpną na głowie!

ŚWITYNA

A wiesz, o co Hado go pyta?
— Skąd? jacy się ruszą wojowie?
...Katuje go, miota się, krzyka,
dziad zamrze a słowa nie powie!

(Dźwirze od szopy rozwierają się: wychodzi Hado, za nim Wolfrich i pachoły niosący zemdlonego Dembca.— We drzwiach dworca pod hyzem staje Gerta)

GERTA

(do Hadona)

Wróć do stoła...

HADO

(rozjątrzony)

mnie teraz nie w głowie
wasze wino i wasza biesiada!
— Wolfrich! niechać przy studni każ dziada

GERTA

(wylękniona)

Złe nowiny?

HADO

(opryskliwie fukając)

Tyś pytać nie w prawie!
— Nie ma nowin! on mrze, a nie gada...
pies słowiański!

GERTA

ty siądź przy zabawie...

(Hado stoi zachmurzony i niepewny — potem ręką machnąwszy, daje się Gercie pociągnąć ku dworcowi)

HADO

(przez zęby)

Jutro z dziadem do dnia się rozprawię!

(Wchodzą oboje do dworzyszcza — za nimi Wolfrich. Pachoły na drugie podwórze odchodzą, rzuciwszy Dembca u studni. Dziewczęta przypadają do lirnika i pochylone nad nim, długo cucą go wodą)

WICHNA

(niespokojnie)

Żyw jest?

ŚWITYNA

Wej — dycha ledwie

(cucą go przez chwilę)

DEMBIEC

(mdłym głosem)

Wody...

ŚWITYNA

a pijcie — toli!

(wlewa mu wodę do ust)

DEMBIEC

(na pół przytomny)

Kto przy mnie?

ŚWITYNA

my obiedwie;

DEMBIEC

Kto?

ŚWITYNA

córy dwie, Olszanowe

DEMBIEC

(po chwili ruszywszy się, jęczy)

Och boli, wszytko boli,
wszytko jak jedna rana!

ŚWITYNA

Przeboli wasz ból srogi

(przemywa mu twarz)

DEMBIEC

(oprzytomniawszy, dźwiga się ciężko i znów opada ręce rozpaczliwie podnosi)

Nie dajcie wy mi bogi,
nie dajcie mrzeć w niewoli!

Żyć chcę! żyć,
aże słońce pod ziem
twarz złotą znijdzie kryć —
ostatnim tchem
żyć chcę! żyć,
by ino do wieczora,
aże ognista wić
na wierchach gór zapłonie,
aż surmy ryknął z bora
i zarżą w lesiech konie,
aż w mroku brząkną bronie
i pryśnie bron zawora...
Żyć chcę! żyć,
by ino do wieczora!

ŚWITYNA
(*zdumiona i poruszona*)

Prządziecie taką mowę,
jako zwikłana nić...

DEMBIEC
(*spokojnie*)

Ano wy, knęzkie córy,
sieroty Olszanowe,
dźwignijcie mnie do góry,
podnieście wy mi głowę,
a baczcie na mą mowę...

(nagle zatrzymuje się, — wypręża i pyta szeptem)
Nie słucha Niemiec który?

ŚWITYNA
Nie masz tu z nich nikogo...

WICHNA
Za stołem są we dworze.

DEMBIEC
(z razu stłumionym głosem, potem rozpala się własnemi słowami i mówi coraz szybciej i głośniej)

Het, gdzie puszcza, gdzie bezdroże
krytym ślakiem, cichą nogą
ciągną, płyną — jako morze,
ludy mnogie z mocą srogą...
Gorze Niemcom! Gorze!
— Hobolany a Sprewiany
od północnej ciągną ściany
z ziemie jeziormi oblanej,
kędy szumią dęby sośnie
a chłop w chłopa dębem rośnie...
— Idą, ciągną od zachodu
woje z Nieletyczów rodu,
od Jarowita kontyny
z ostrowu na Łabie sinej.
— A od strony południowej
ród Milczanów idzie płowy

od tych bagien i od skały,
kędy gród, Budziszyn biały...
— A od wschodu z ponad Bobry
lud Żórawian ciągnie chrobry
z rodnych pól, gdzie plenne zboże...
Gorze Niemcom! Gorze!

(*z uniesieniem*)

...Orzeł-li to biało-pióry
w złotem słońcu koła toczy
i ów mnogi lud jednoczy?
Miesiąc-li to wyszedł z chmury
i nad wszytkiem władnie z góry
a z nim gwiazd świecące oczy?
— Oj, nie miesiąc to świetlany
oj, nie orzeł rozpostarty,
ino Mieszko z ponad Warty
wiedzie swe Polany:
od Mogilna, ode Kniezna
i z nad Gopła od Kruświcy...
lud on hardy, krasolicy
miody syci, ziemię orze
a przed Niemcem trwogi nie zna...
— Gorze Niemcom! Gorze!
Krytym ślakiem, cichą nogą
zewsząd, zewsząd ciągną nasi...
— staną w okół z mocą srogą

dzisia o wieczorze,
skoro czarna noc pogasi
nad puszczą rumiane zorze...
Gorze Niemcom! Gorze!

ŚWITYNA
(*gorejąca uniesieniem*)

To dziś, to dziś ma być?
w dzisiejszy wieczór już?
Nadciągną o zachodzie zórz
i w Niemców będą bić!...
— O, dobraż wasza wieść!!
Z niemieckich serc i trzew
do gwiazd niech tryska czarna krew!
Siec! Rżnąć! Do izna zgnieść!

DEMBIEC

W Radogoszczy, w świątnicy
widuny widali znak:
na Radogosta przyłbicy
krogulec, wojenny ptak
ostrzy pozłocisty dziób,
szade pióra jurzy,
skrzydłami trzepoce,
jakby lecieć miał na łup —
...Niemcom źle to wróży!
Topór we dni a w nocy

w Radogostowej dłoni
krew, krew rumianą roni
i chram u Bożca nóg
w krwawej stoi kałuży —
...Niemcom źle to wróży!
Radogosta pawęża
sama brząka i dzwoni —
Radogostów święty łuk
sam się gnie i rozpręża —
Radogostów kręty róg,
bojowy róg turzy
sam ze się pograwa
nito grom śród burzy...
— Radogostu sława,
a Niemcom śmierć krwawa!
Haj!

ŚWITYNA

Bogdaj ono plemię
zginęło a zczezło!
rada-bych ja, rada!

(*do Wichny*)

A ty wbijasz oczy w ziemię?
zbielałaś, by giezło?

WICHNA

(*cicho*)

Lęk mnie, lęk opada...

nie pytaj, czemu blednę?
ino mnie stąd weź,
niech oczy moje biedne
nie patrzą na rzeź...!
Serce we mnie dygota
przeima mnie cierpota...
— Skryj mnie pod ziemię gdzieś!

DEMBIEC

Bogdaj-bych miał twe oczy,
bych widał, jako broczy
mój lud w niemieckiej jusze,
bych widał, jak z żywota
miecz im wygania dusze —
a zadrgą moje kości
i serce zadygota
od wielgiej, od radości!
Nie nam dziś drżeć od lęku,
gdy Niemce w naszych ręku
i zgnieść ich możem w szczęt...
Hej, córy Olszanowe
na moją baczcie mowę:
za waszą to przyczyną
ten grojec będzie wzięt,
Niemce do cna wyginą!

ŚWITYNA

(porwana tą mową)

a jakoż to być ma?
dziewki my dwie niemocne...

DEMBIEC

Kieby nie ona ćma
w oczach, nie męty nocne,
co świat mi słonią biały —
dziśby tu o wieczorze
te brony, dwór a tyny
ogniami rozgorzały!
Żagiew-bych wziął z nalepy
i palić!... inom ślepy...
— Wzdyć to i dziewka może.

ŚWITYNA

(z wybuchem ogromnej radości)

Palić! Buchnie płomię,
stołb rozgoreje jaśnie,
a luda czarniawa
ogniowi odwrzaśnie
i brony rozłomie
i tyny pozrywa...!

DEMBIEC

Radogostu sława
a Niemcom śmierć krwawa —
nie ujdzie noga żywa!...

ŚWITYNA

(*jakby młotem w piersi uderzona, cofa się i gaśnie na twarzy*)

Nie ujdzie... ani noga?

DEMBIEC

(*nie przeczuwa wrażenia swych słów*)

A jakoż ujść ma stąd?
miecz w koło i pożoga!

ŚWITYNA

(*tuli Wichnę, która twarzą do piersi jej przyległa*)

A ta?

DEMBIEC

Kto?

ŚWITYNA

siestra moja!
ino mi o nią trwoga!...

DEMBIEC

(*twardo*)

Na Niemce dzisia sąd,
ogniowa kaźń i zgon,
i ninacz dzisia zbroja,
ni koncerz, młot, ni drzewce!
a kędyż ma być schron
mdłej a niebronnej dziewce?

— Ja śmierci się nie boję,
rad oddam życie moje
z Niemcami, z Niemcami dziś społem!
— jutro w świętej krainie,
kędy miód z mlekiem płynie
z oćcami pod lipą za stołem
z oną lirą se siednę
a zaśpiewam im pieśnię —
oj niejednę, niejednę
o tem, siłam tu we śnie,
we śnie ziemskim wycierpiał z Niemcami!

ŚWITYNA

Nie pójdziecie hań sami:
ja też trwogą nie zblednę —
na nię ino zawcześnie, zawcześnie,
na nieboże to biedne!

DEMBIEC

(niecierpliwie)

Wzdy ją wywiedź za brony,
niechaj uchodzi w puszczą.

ŚWITYNA

Niemce tu z wszytkiej strony,
ni cienia nie przepuszczą:
na bronach czują straże!
— Daremne rady wasze,

nikt tego nie dokaże
chyba skrzydłoma ptaszę!

WICHNA
(*pół szeptem, pół płaczem*)

Ja przy tobie, przy tobie
Śwityno!
żyć-li, umrzeć-li obie!

ŚWITYNA

Idź stąd, odstąp — dziecino!
Nie tobie, haj, nie tobie
słuchać takiej rozmowy
śmiertelnej a ogniowej...

(*Wichna z głową zwieszoną odchodzi i zadumana siada pod hyzem*)

DEMBIEC

Idzie, idzie godzina
wyczekana, jedyna!
Którzy naszą krew lali,
w łzach się naszych kąpali —
zczezną w ogniów czerwieni,
zdechną mieczem zgładzeni,
świat się na nich obali!
— Idzie, idzie godzina
wyczekana, jedyna...
— Grojca-ż nikt nie podpali?

(na pół podniesiony na barłogu, zmacał ręce Śwityny i potrząsa nią mocno. Śwityna stoi długo, niema w męce serdecznej)

ŚWITYNA

//Jam ją pod końskiemi kopyty
słoniła własnem ciałem,
gdy ociec nasz padał, ubity
u dworca w Pławnie białem...
jam głodem tu wciąż przymierała,
by jej dać sytość jadła;
na gołej-em ziemi sypiała,
iżby się ciepło kładła;
jam za nią w robocie od rana
stękała, jak noc długa;
za nią ja stawałam krwią zlana
pod razem ich kańczuga:
cierpiałam skróś niej do ostatka...
Nie siestram! istna matka! //

DEMBIEC

Jam od lat trzechdziesiąta
nie znał własnego kąta,
ino chody, obchody
między ludzkie narody,
ode płota do płota
choć na oczu ślepota...

Bywało, chleba braknie
na pokrzepę żywota,
bywało, krople wody
na próżno człowiek łaknie!
Cóż mną po świecie miota?
— One chody, obchody
z zagrody do zagrody
nie prze siestrę, ni brata,
nie prze córkę, ni syna!
Schodziłem ja pół świata
i tułam się chudzina
wiesz — prze co?!
Z pieśniami, co świt lecą,
ludziom w oczu łzą świecą
w serca żywy żar miecą,
a Niemcom... wojnę niecą!
— Nim w jeden pierścień srogi
sprzągłem on naród mnogi,
do krwiem wprzód schodził nogi,
te stare nogi bose,
aż dzisia, z długiej drogi
lirny ślepiec ubogi,
Niemcom darem... śmierć niosą!

ŚWITYNA

Ja chcę, ja chcę niech giną!

Lecz jakoż mam siestrzyną
dać krew na śmierć straszliwą?
— Nie ujdzieć ona żywo,
kiedybych ja łuczywo
przytknęła ku strzesze...
— Bez tego zbrojne rzesze
nie dobyłyżby grodu?
Gdy górę w krąg oblegą,
wezmą grojec bez tego!

DEMBIEC
(*smutnie chwieje głową*)

Orężnego narodu
ciągnie hań wielgie mrowie...
Znam ich: żywot i zdrowie
radzi w boju położą,
ni przed czem się nie strwożą,
ale... nie wezmą grodu!

ŚWITYNA

Prze to, że niedostany
na wierchu skalnej ściany?

DEMBIEC

Rozprzęgą się od głodu!
Takie ludu gromady
kto haw długo wyżywi?
przydzie na nie głód blady

rozbroi je, rozckliwi...
Przydą waśni a zwady,
a zawiści, a jady...
znam ich: jako swarliwi!
niezgoda je rozżenie
Niemcom na pocieszenie
i przeminie godzina
wyczekana, jedyna!...
— Chcesz-li Niemcom zagłady?
miej serce, jako stal!
nie masz inakszej rady:
grojec wieczorem spal!

ŚWITYNA

Nad rozwalony grojec on,
nad tej niemieckiej garści zgon,
milsza mi krew siestrzyna!

DEMBIEC
(*z goryczą*)

Śwityna! hej! Śwityna...
wzdyć ona garść rycerzy
na piersiach głazem leży
i życie z nas wyciska,
a wszędy wkół grodziska,
od Odry do łabianych wód
niewola, zgorzeliska

i w udręczeniu ginie lud...!
— Rozumiesz?
(chwyta ją za rękę — Śwityna wyrywa się)

ŚWITYNA

Puść mnie, dziadu, puść!

DEMBIEC

Ta garść rycerzy i ten gród,
to w żywe ciało wbity gwóźdź!
Garść, jedna garść rycerzy:
niemictwa to plugawy wrzód!
— Nie dać mu róść!
wyrżnąć, wypalić do korzeni,
bo jad rozszerzy,
bo się rozmoże i rozpleni...
...Wypal! Zlecz cały lud!

ŚWITYNA

Nie kuście mnie, nie dręczcie mnie
człowiecze!
swe życie dam, na ognie dam,
na miecze...
z niemiecką krwią, niech moja krew
pociecze
lecz zabić jej, tej siestry mej
nie mogę!

Jej nie dam z rąk na śmierć wśród mąk,
w pożogę...

DEMBIEC

Żyj! pomstę złóż a Niemcom służ
i ona niech służy!

ŚWITYNA

Jej nie dam! Nie!... Nie dręczcie mnie!
Nie słucham was dłużej...

(*wybiega — Dembiec siedzi wyprostowany, z wyciągniętą szyją i rozwartemi szeroko ślepemi oczyma, jakby skamieniał; Wichna pod hyzem, twarz opuściła aż na kolana i płacze*).

AKT III.

AKT III.

DEMBIEC

(*w rozpaczy miota się na ziemi pod studnią i bije się pięściami po głowie i po piersiach, zawodząc*)

Och, nadchodzi godzina
wyczekana, jedyna
i minie, przeminie...
Biada mi, biada, biada!
przeklęte wy obie dziewczynie,
skroś was wszytko przepada!
— przeklęte wy ślepe źrenice,
ognia skroś was nie podłożę!
Wszytko idzie na nice, na nice...
gorze mi! gorze! gorze!

WICHNA

(*siedziała pod hyzem — podnosi się zapłakana i idzie wprost na Dembca*)

Co wy ze Śwityną,
ze siestrą gadali —
słuchałam we łzach...
jam-ci jest przyczyną,

że grojca nie spali
i Niemce nie zginą...

DEMBIEC

Przecz nie imiesz łuczywa?...

WICHNA

(*nagłem przerażeniem owładniona, cofa się i obie dłonie do policzków przykłada wołając ze zgrozą*)

Nie! Strach mi ognia! Strach!...

(*wybucha łkaniem rozżalenia*)

Com ja krzywa?! Com krzywa?!
— Skroś mnie to nieszczęście,
wszytko idzie na nice... na nice!
bogdajem się nie była
na biały świat rodziła!
umrzeć było dzieciną,
gdym ssała pierś matczyną...
abo mi Bóg daj ninie
trupem paść w tej godzinie!

(*zasłania twarz rękoma*)

DEMBIEC

(*całem ciałem dygoce pod nagłem wewnętrznem poruszeniem; po twarzy jego przelatują błyskawice groźnych myśli; zmagające się w nim uczucia łamią się na zbielałych wargach*)

Milcz...! W oczach mi czerwono...
w myślach moich krew płynie...

milcz... milcz...! w takiej godzinie
nie budź mową szaloną
ogromnych onych mocy,
co śpią w otchłaniach nocy
pod Osądu przysłoną...
Hej, nie minie... nie minie
to co komu znaczono..!
— ...w myślach moich krew płynie!...

WICHNA

(*w swoim żalu zatopiona, nie pojmowała słów Dembca; odejmuje ręce od twarzy i zawraca do poprzedniej swej myśli...*)

A jakież ja tu życie mam,
odkąd w niewolą wziętam?
sam ból i samą krzywdę znam:
to jedno tu pamiętam...

(*z wybuchem nowej żałości*)

Bo tego ani wy nie wiecie,
jako źli są Niemcowie...
źli! tak są źli, że nikt na świecie
ich złości nie wypowie!

DEMBIEC

(*ogarniony ogniem bezgranicznej nienawiści, mówi dławionym od gniewu głosem*)

Gdzie Niemiec nogę stawi,
tam ziemia sto lat krwawi...

gdzie Niemiec wodę pije,
tam źródło sto lat gnije...
gdzie Niemiec tchnie trzy razy,
tam już sto lat zarazy...
gdzie Niemiec rękę poda,
tam już przepadła zgoda,
bo wszytko mu zawadza,
nad czem nie jego władza:
źle żaby w stawie rechcą,
bo po niemiecku nie chcą!...
i ptak go w lesie gniewa:
nie po niemiecku śpiewa!
— Choćbyć co miał lat tysiąc,
jego jest — gotów przysiądz...
mocnych oszuka, zgrabi
a zdusi tych, co słabi...
By w niebo była droga —
obdarłby nawet Boga
i ujźrym jeszcze snadnie,
jak słońce z nieba skradnie!

(*nagle inną myślą tkniony, zgoła innym, zaniepokojonym głosem pyta*)

A słońce-li wysoko?

WICHNA

(*pozierając przez bronę*)

Nad górą, nad zieloną

chmury się białe wloką
i płoną
pierwszą jasnością złotą,
ale już cień w dolinie.

DEMBIEC

(*na pół do siebie, chwiejąc głową ponuro*)

Hej, co komu znaczono —
nie minie...
Żal mi cię, żal sieroto!
— Kto strzyma słońca bieg?
Kto wróci wodę rzek?
...Niech litość w sercu milczy!
taki czas, taki wiek,
świat jest w paszczęce wilczej!

(*Wichna słuchała pochylona nad nim, z odcieniem lęku i zdziwionemi oczyma*)

WICHNA

Jak wyrozumieć was?
wasza mowa zawiła
tak mi się dziwno zdaje...

DĘBIEC

Siłaby gadać, siła...
wyrozumiesz ty wczas...
— Ot, serce mi się kraje,
biedni my, biedni, biedni!

(*miękkko*)

Pójdź haw, dziecino miła
siedni se przy mnie, siedni
a podaj mi ręce...

(*wzruszony, ręce obie ku siedzącej Wichnie wyciąga*)

Nie bój się — ja czyste mam,
ják twoje dziewczęce,
nie mam na nich jeszcze plam
krwią niewinną niezmazane
jakom żyw!
Jutro... jutro przed ojcami stanę
całe koło pod lipą zasiędzie,
do rąk wezmę to moje narzędzie...

(*rozpaczliwie*)

Pomnij..! powiesz... powiesz...
Com ja krzyw?!

WICHNA

Co, — komu ja mówić mam?...
— Powiadała Śwityna
jako hen, kędyś tam
jest szczęśliwa kraina,
bo Niemców tam nie będzie...
Pójść hań, czy straszno wam?
tu Niemce wszędzie, wszędzie..,
i wy tam pójść nie chcecie?
doprawdy?!

(zamyśla się)
Czy my nigdzie na świecie
nie mamy własnej ziemi,
ni spokoju przed niemi ?...
Zawdyż tak było ? zawdy ?!

DEMBIEC
Bogowie ziemię dali nam wolną,
góry i jasne wody
i bór i niwę rolną
i sady i zagrody
i na pastwiskach trzody
i w ulach złote miody
i w spichrzach pełno żyta...
mieliśmy tu do syta
i chleba i swobody...
I pieśń była przy żniwie,
z pieśnią szło się na łowy
i śpiewały tęskliwie
dziewki a białegłowy
przędące zimą len,
bielące wiosną płótno...
Aż od zachodu — hen,
ze świata wielgiej dali
przyśli z mocą okrutną
Niemcowie zbrojni w stali...
oj przyśli nieproszeni

w pożarnych łun czerwieni,
pola trupem zasłali!
— Odtąd w bólu i w męce
rodzimy się i mrzemy,
a niemiecki gad,
na jęk i na łzy niemy,
w zakrwawionej paszczęce
zgryśćby nas do krzty rad!!

(*długie milczenie, Wichna stoi zadumana z głową na piersi zwieszoną*)

DEMBIEC
(*niespokojnie, gorączkowo*)

Mów, słońce-li wysoko?
może zachodzi już...?!

WICHNA

Nie jeszcze... Z pod złotych rzęs
patrzy słońce, niby senne oko,
ale zasię hań, do garbu wzgórz
ma jeszcze znizu kęs...

DEMBIEC

Nie jeszcze? to dobrze... Wichenko,
sława bogom za tę krzynę chwil!
Ku mnie się skłoń i liczko schyl,
ujźrę cię ano — ręką...

(*po twarzy jej zwolna dłonią przesuwa*)

Jaką ty masz
dziecięcą twarz,
dziewuchno —
tak świeżą i młodziuchną,
jak stokrocie wczesne,
co kwitną na wiesnę,
gdy ciepłe tchnienia chuchną...
— Była niegdy, była u mnie doma
taka córka i w takiej podobie,
ino dawno, tylo temu lat...
gdy mnie brała za szyję rękoma,
gdym całował jagody jej obie
zielenił mi się świat!
i w niejeden'em wieczór zimowy
grawał dla niej na lirze lipowej —
dawno temu, tylo długich lat!
...W onej krasie i młodej ozdobie
była kwiatom podobna — i tobie,
kwitła mi jako kwiat...
ino mi ją zwarzył mróz.
Przyszła po nią Marzana macocha,
przez wielgą moc, przez mus
zawzięła ją do siebie, tam...
odtąd mnie nikt nie kocha
i sam wciąż jestem, sam...
— Zagrałem jej na stosie,

gdy zapalali stos
i odtąd zawdy, skoro gram,
w tej lirze mojej głosie
słyszę jej głos, jej słodki głos...
I córką — lirę mam.

WICHNA

Gdyście w Pławnie grawali
czułam, że czyjaś dusza śpiewa
w tej krzynce z lipowego drzewa
i że się płaczem żali...
— Biedniście wy, biedniście!

DEMBIEC

Opadły moje lata,
jak z drzewa suche liście
i wiater je rozmiata,
a jam spróchniały pień...
ale ty — kwietny pąk,
nie znałaś wiesny tchnień,
więdło twe życie młode
śród gorzkich nędz i mąk —
...a tu już gaśnie dzień..!

WICHNA

A może na swobodę,
ten bój nas dziś uzwoli,
z niemieckich wyrwie rąk...

Ja was na świat wywiodę
na wolny świat — z niewoli!
— Pójdziemy stąd z Śwityną wraz
pójdziemy żyć we troje...
Żyć! żyć nie na uwięzi!
tam wolność... szumi wolny las,
śpiewają wolne zdroje,
a słońce skróś gałęzi
złocistym deszczem spływa...
Już nigdy nie poniecham was,
już nigdy — pókim żywa!
...Pójdziemy żyć we troje. —

(*przytula twarz pieszczotliwie do jego piersi. Dembiec rozrzewniony obejmuje jej głowę rękoma i w czoło ją całuje. Nagle twarz mu się mieni — jakby mocą nieprzepartą odrzucony, cofa się od Wichny z wyrazem zgrozy*)

DEMBIEC

Nie... nie!

WICHNA

Ja was się boję!
ta twarz... ta twarz straszliwa!

DEMBIEC

(*ze łzami w głosie, miękko*)

O dziecko, dziecko moje,
ty mówisz o swobodzie!...?

WICHNA

Co wam to? łzy w źrenicach?
Łzy! wielgie łzy po licach
ściekają i po brodzie!
— Co wam, stareńku? Co to?!

DEMBIEC

(*powściągając łzy*)

Toli tak... nic już... nic...
Żal mi cię, żal — sieroto!

(*twardo — napół do siebie*)

Nie dać z lic
płynąć łzom
i w piersiach żałość zgnieść,
pomsty grom
trzeba nieść
niemieckim wrażym psom!
Plugawą ich posoką
noc czarna się zrumieni...

(*niespokojnie*)

— Mów, słońce-li wysoko?

WICHNA

W okolu z promieni
i w łunie zórz
stoi kula rozpalona
nad puszczą, na górze...

DEMBIEC
(*zdławionym szeptem*)

To już?! to już?!

(pot śmiertelny występuje mu na skronie, wargi dygotaniem chwycone latają mu poniewolnie, ręką wodzi po czole, strętwiały i osłupiony. Śwityna wychodzi z dworca i pusty sagan stawia pod hyzem. Dembiec usłyszawszy ją drgnął)

DEMBIEC
(*półgłosem*)

Kto wyszedł na podwórze?

WICHNA

Śwityna

DEMBIEC

Ona! ona!

(*zwraca się ku Świtynie i na pół klęcząc na pół siedząc, ręce ku niej wyciąga z rozpaczliwą i grożącą prośbą*)

W twych ręku przeznaczenie —
tam nasi...! chwyć zarzewie...
czy w uszach masz kamienie?
czy ich nie słyszysz?... Pal!
niech serce twe nie wie,
co próżny żal —
miej moc.., miej moc!..
na Niemców padnie strach,

to ich ostatnia noc,
śmierć na nich zwal!
W twych ręku przeznaczenie...
leć w ogniach, w skrach,
ciskaj płomienie
pod każdy dach...
pal! pal! Śwityna — pal!

ŚWITYNA

(*rzuca się w tył aż ku hyzowi*)

Nie chcę... nie mogę... Nie!

DEMBIEC

(*podnosi się, groźny, z twarzą skościałą od zaciekłości*)
(*chrapliwym głosem*)

Ty... pomnij... zmuszasz mnie!

(*Wichna siedziała nieporuszona, ze strachem słuchając rozmowy Dembca ze Śwityną. Dziad stojący nad nią, żylastą, ogromną lewicą chwyta ją pod szyję, prawicą podnosi w górę swą ciężką lipową lirę i z całej mocy uderza dziewczynę w ciemię. Wichna pada bez jęku, pęknięta lira z głuchym brzękiem obsuwa się z rąk ślepca. Dębiec nieruchomo stoi—straszny, blady jak słup zgrozy i przerażenia. Śwityna z rozdzierającym krzykiem podbiega i ciska się na ciało siostry*)

ŚWITYNA

O! zabił ją... bogowie!
zabił mi ją... — Na głowie

ta rana przeraźliwa
gorącą krwią opływa...
Nie, nie... ty ciepła... żywa...
o, dycha... dycha... szepce...
ja chcę... ty musisz żyć!

(*zatrzymuje dech i patrzy, jakby czekała życia w ciele siostry*)

Zabita!... — Powiedz ślepce,
co-ć ona była krzywa?!

(*z ostatniemi słowami podniosła się nagle i wprost na Dembca idzie blada z wściekłości, rzuca mu się do gardła i prze go ku ziemi całą siłą ramion. Dembiec bez oporu, z rękoma opuszczonemi ulega i tylko zdławionym głosem się odzywa*)

DEMBIEC

Idź... pal grodziszcze... idź...

(*Śwityna nie zważając, dławi go pod gardło w dzikiem uniesieniu zemsty. Nagle na częstokołach surmy straży niemieckiej grają przeraźliwą pobudkę, a za grodziszczem dokoła podnosi się ogromny, zmięszany, tysiącgłosy okrzyk wojenny — Śwityna puszcza starego, podnosi głowę i słucha, jakby ze snu zbudzona*)

DEMBIEC

(*porywa się i Śwityne chwyta za ramiona*)

Ten krzyk... ten krzyk na okół
to nasi!... moc ich, moc...
W twych ręku przeznaczenie...

czy słyszysz jak dudnią w częstokół
z tysiąca proc
miotane kamienie?

(z dworca wypadają wojennicy niemieccy, wśród nich Hado. Z przyległego dziedzińca nadbiega Wolfrich z pachołami. Popłoch, zamęt, wrzawa krzyków, nawoływań, szczęku broni)

ŚWITYNA

(odtrąca Dembca)

Precz, precz odemnie dziadu!
— Nie tykaj mnie — straszliwy...
nie tykaj... wolę gadu
oślizłe dotknięcie
krew masz na brodzie siwej
i krew masz na lirze...

(klęka nad Wichną i twarz nad jej twarzą chyli)

DEMBIEC

Miecze grzmią, stękają cięciwy...
pal — zanim w zamęcie
Niemce trwożni ochłoną!
Zemsta ma stopy chyże...
nie ujdzie żaden żywy,
będą mieć noc czerwoną
— Tobie włożyły bogi
ich śmierć do rąk —
leć, wytrać ich do nogi!

(Słońce zaszło — mrok zapadać poczyna coraz gęstszy Niemce bez blach ni zbroic, tylko z bronią w rękach pędzą i tłoczą się bezładnie ku częstokołom. Wpośród nich uwija się Hado bez pancerza ni hełmu, z tarczą i gołym mieczem w garści; w gwarze wykrzykując niezrozumiałe rozkazy, rozstawia wojowników i pachołów przy ostrokołach. Niemce bronią się przed natarciem szturmowników, u bramy walka najgorętsza)

DEMBIEC

(nóż dobyty z zanadrza wciska do rąk Świtynie)

Naści nóż... naści nóż...
wepchni mi w piersi ostrze,
wstań ino potem już,
pal stos pogrzebny — siostrze!
naści nóż... naści nóż...
naści, żgnij prosto w serce:
te ręce twej siestryńce,
te ręce dały cios,
lecz Niemce jej morderce
i śmierci jej przyczyńce —
z grojca zrób dla niej stos!...
Zapal... zapal grodziszcze,
zgorejem z nią pospołu...
jutro z Niemców i z nas
ino kupa popiołu
i zgliszcze...

Nie stój, nie stój by głaz,
leć... weź żagiew do rąk!...

(Śwityna słuchała z głową na piersi opuszczoną. Zwolna twarz jej mieni się, coraz sroższa, dziksza, błyskawicami oczu roziskrzona. Nie mówiąc słowa, rzuca się pędem ku podcieniom hyzu, z polepy żagiew płonącą porywa i strzechy podpala na dworcu, na szopie, na stajniach, przebiegając podwórze zdyszana, straszliwa, szałem zniszczenia ogarnięta)

DEMBIEC

(zawieszony w oczekiwaniu stoi nad ciałem Wichny. Posłyszawszy krzyk przerażonych Niemców, drgął, wyprostował się i wyciągnął szyję)

Ten wrzask... Hej, dachy płoną...
spiekota... pożar w kręg...
Zemsta ma stopy chyże...
nie ujdzie żaden żywy —
W powieki żre mnie dym...
ogień! ogień złotogrzywy!
ujźreć go jak strzechy liże
na zatracenie im...

(wyciąga pięść)

Zcześniecie wy do nogi, w pień
i ścierwa czerń kruków obsiędzie...
— Hej nim jutro wstanie dzień
mnie — ani was nie będzie!

(Zabudowy gorèją z trzaskiem i hukiem, oblewają niebo nocne łuną. Wrzaskom przerażonych oblężeńców odpowiadają z poza ostrokołów, ogromne radosne okrzyki oblężników. Uchodzący przed pożogą Niemce zbijają się w kupę około Hadona i wypadają z grodziszcza przez podniesioną znagła bronę, aby się przerznąć poprzez nacierające tłumy. Alę Słowianie zaraz w bronie otaczają ich, zaleweją i ponoszą. Za broną odgłosy rzezi.... Ku Dembcowi powraca Śwityna)

DEMBIEC

(słysząc jej kroki)

To ty? to ty... Śwityno?

ŚWITYNA

Goreje stos, goreje stos,
a Niemce giną... giną...

(obziera się ku bronie rozwartej)

Wstań krwawa mgło z czerwonych ros...
przeklętą ich posoką
nasiąkaj ziemio głodna!

(odrzuca żagiew, którą w ręku trzymała, podnosi z ziemi ciało Wichny i rusza z niem powoli ku płonącemu dworzyszczu)

DEMBIEC

(idzie za nią — drogi przed sobą wyciągniętą ręką szukając, drugą ręką lirę do piersi przyciska)

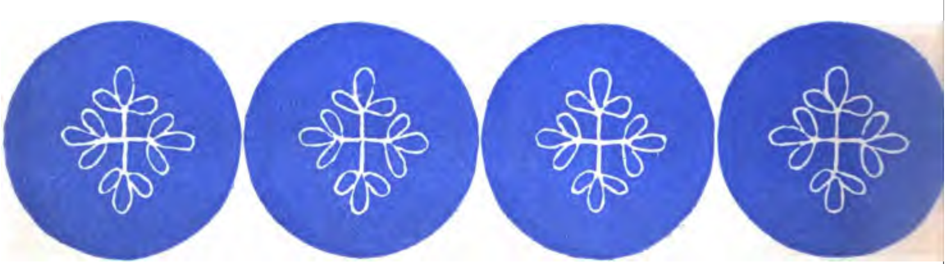
Daleko i szeroko
niech między lud poleci głos
nad całą tą krainą,
że wolna, że swobodna!

(W bronie staje Mieszko — młodzieńczy, potężny, z dobytym mieczem w dłoni, cały krwią przelaną ociekający; za nim tłoczą się głowy słowiańskich wojenników. Śwityna z ciałem Wichny i Dembiec, w oczach zwycięzców, wchodzą w drzwi gorejącego dworzyszcza).

Tonie 1902.

PROLOG





PROLOG

NA OTWARCIE TEATRU
W KRAKOWIE D. 27/VI 1893.

SCENY WIERSZEM

Leśna polanka w okolicy Krakowa; w głębi perspektywiczny widok na miasto, w tej chwili oświecone zachodzącem słońcem. Na konarach drzew, w zaroślach i w głębiach lasu roje rusałek, boginek i duchów leśnych. — Na przodzie sceny, na podesłanym kolorowym szalu PANNA JADWIGA, *obok niej na pniu przewróconym* POETA, *na lewo na rozłożonym plaidzie* MATKA, *dopijająca szklankę herbaty, obok niej* OJCIEC *drzemie, oparty na łokciu. Między nimi kosze z prowiantami. talerzyki, szklanki, puste butelki. W głębi sceny samowar i dopalające się ognisko. Opodal na lewo widać* ZOSIĘ, *która zbiera kwiatki i zatyka je za kapelusz, trzymany w ręku.*

SCENA I.

PANNA JADWIGA
(kończąc dłuższe przemówienie)

...Bo przecież my na sztukę patrzymy oboje jednakowo, my o niej myślimy to samo — tylko pan...

POETA

Ja teoryj o sztuce się boję:
nieznam się na tem.

(Rozmawiają półgłosem).

MATKA

Zosiu!

ZOSIA

(podbiega)

Jestem, jestem mamo!

MATKA

Zaparz jeszcze herbaty i ojcu do szklanki
nalej.

(Spostrzega kapelusz Zosi)

Kapelusz! — Na co ci to zielsko?
zazielenisz tym chwastem wstążkę.

ZOSIA

To rumianki
i paproć.

MATKA

(surowo, stłumionym głosem)

Wyrzuć zaraz!

(Zosia wyjmuje kwiatki i idzie nalewać herbatę).

PANNA JADWIGA
(w dalszym ciągu rozmowy z Poetą)

Rozprawę angielską,
czytałam o tem.

POETA

O czem?

PANNA JADWIGA

O teatrze!
Pan nieciekawy?

POETA
(chcąc pokryć znudzenie i roztargnienie)

Owszem -- słucham panię;
tak machinalnie gdzieś po lesie patrzę.

PANNA JADWIGA

Po tej rozprawie mam już własne zdanie
o celach sceny. Pojmuję doniosłą
wartość otwarcia nowej sztuk świątyni...

MATKA
(podchodząc)

O cóż dyskusya idzie tak zażarcie?
pewnie o teatr? — Jadzia to znawczyni!
Jutro idziemy wszyscy na otwarcie
teatru...

(Rozmawiają dalej półgłosem).

ZOSIA

(ze szlanką herbaty idzie do ojca i budzi go)

Tato, przyniosłam herbaty!

PANNA JADWIGA

To dzień tak wielki! Jestem przekonana,
że talent pański wyda nowe kwiaty
dla nowej sceny.

MATKA

(z emfazą)

Znamy dzieła pana:
nieraz czytając łzyśmy w oczach miały.
O, twórz pan dalej! a niech pan pamięta,
że kraj poezyi ma swe ideały,
do których rwie się duch zakuty w pęta
naszego ciała. Nieś nas pan w błękity,
nieś nas na skrzydłach poezyi w przestworze!
O ten realizm! Panny przyzwoitej
wziąć do teatru nieraz się nie może!
Poezya działać powinna moralnie.

PANNA JADWIGA

A jednak Shakespeare!...

MATKA

Ach, nawet geniusze
mają tę wadę. Shakespeare czasem palnie
rzecz tak okropną!

(Zatyka sobie uszy).

PANNA JADWIGA
(sarkastycznie)

Ja objaśnić muszę,
(co pan sam zresztą spostrzedz musiał w mamie)
że zatwardziałą jest idealistką —
(z namaszczeniem)
ja bo znam tylko sztukę, co nie kłamie!

MATKA
(gwałtownie)

Nie znasz! ja czytać dałabym ci wszystko?

PANNA JADWIGA
(trochę zbita z tropu)

Naturalizmu znam tylko teoryę,
lecz wyrobiłam sobie o nim zdanie:
scena nie miejsce na fantasmagorye!
w tem błądzi Shakespeare!
Czyż nieprawda panie?
Po co wprowadzać duchy i widziadła,
które majaczą po głowie autora?!

OJCIEC
(który, wypiwszy herbatę, drzemał — budzi się)

Godzina ósma! do domu już pora
zbierać się! — chcecie, żeby noc zapadła?

MATKA

(półgłosem)

Wstyd mnie za ciebie...

OJCIEC

(ziewając)

Przedmiot to ciekawy,
ale już późno, a droga daleka
i rosa pada: dotknijcie się trawy —
katary pewne! Tam fiakier czeka
na drodze.

MATKA

(do Zosi wskazując jej kosze, filiżanki etc.)

Zosiu!

(Zosia zabiera się do pakowania. — Poeta jej pomaga).

POETA

Ja pani pomogę;
a pani lubi teatr...?

ZOSIA

Bywam rzadko.
Ostatnim razem — śliczna była sztuka:
syn jedzie, z starą nie żegna się matką,
a ona potem po świecie go szuka —
takie to smutne!... Gdy ci ludzie zaczną
mówić na scenie, jak są nieszczęśliwi,

to mi tak jakoś... przykro... Mam dziwaczną
naturę: wszystko wzrusza mnie i dziwi.
Pan śmiać się będzie.

OJCIEC

(zbliża się)

Pocieszna dziewczyna,
w teatrze...

ZOSIA

(przerywając)

tatko znów się śmieje ze mnie!

OJCIEC:

Panie, o świecie bożym zapomina:
twarz jej się pali, afisz w ręku zemnie,
kolacyi nie chce jeść...

ZOSIA

To tak przyjemnie!

OJCIEC

Ładna przyjemność: czyimś tam kłopotem
psuć sobie zdrowie. Gdy płacę za lożę,
chcę się zabawić, zjeść porządnie potem
i śmiać się jeszcze, gdy się już położę.

(Tymczasem kosze spakowano i cała kompania wychodzi z manatkami, ciągnąc za sobą Poetę).

SCENA II.

(Boginki, rusałki i duchy leśne wypadają z ukrycia na scenę).

TĘCZKA

Chi, chi, chi, chi!

JAGODA

(śmiejąc się)

A to śmiech,
z tem plemieniem ślepem, głuchem!

POGŁOS

Ja odgłosy leśnych ech
puszczałem nad samem uchem
tej, co dowodziła długo,
że nas teraz niema już!

ZORA

(z żalem)

Rozwieszałam blaski zórz,
nad obłoków złotą smugą,
ale tego nikt z nich nie wie.

WIATREK

Ja tej starej pod sam nos
gnałem świeżuchne podmuchy...

PERLIK

A ja uwieszon na drzewie,
siałem chłodne krople ros
na trawę i na mech suchy;
stary przez sen rosę czuł,
jak nie porwie się ze strachem!...

ZIELINKA

Próbowałam wonnych ziół
oczarować ich zapachem...

MGIEŁKA

Wartoż dla nich z srebrnej przędzy
opalową snować nić
i mgieł wiotkich tkać zasłonę?

JAGODA

Przyszli gadać, jeść i pić
i uciekli stąd czemprędzej!

ZORA

Takie stworzenia spaczone,
toż mi to „wszechtworów król!“

BOGINKA

Gdy go żywy świat otoczy:
kwietna łąka, szumny las,

błękit wód, zapachy pól —
to wytrzeszcza tępe oczy,
lecz nie zdolen ujrzeć nas.

POGŁOS
(nadsłuchając)

Cyt! Ktoś idzie. —

WSZYSCY
(jedni przez drugich, patrząc za scenę)

Zakochany..!
tych tu bywa na tuziny!...
...patrzcie, patrzcie: włos rozwiany,
sam ze sobą wciąż coś gada...
...twarzą stroi dziwne miny...
idzie!
(Znikają w gąszczach i za konarami drzew).

SCENA III.

(Wchodzi Aktor uczący się roli).

WSZYSCY
(z ukrycia)

...Przejdzie... Nie! Nie... siada!...

AKTOR

Tyle godzin się mozolę,
wszystko na nic. O rozpaczy!

ja muszę wniknąć w tę rolę.

(Czyta pod nosem).

Nie — tak źle... Trzeba inaczej.

(Czyta i giestykuluje).

To jakoś wygląda blado —

(deklamuje)

„Świat mnie przed tobą spotwarzy,
a tyś uwierzyć gotowa“...
Nie! ja to mówię z przesadą,
tu uśmiech musi być w twarzy —
wszak w tem ironia się chowa?
spróbujmy może z tą zmianą:
„Świat mnie przed tobą spotwarzy“...
Źle! — lepiej włożyć w te słowa
smutek i ufność zachwianą:
„A tyś uwierzyć gotowa“...
Nie — jakoś mi się nie darzy,
czort siedzi jakiś w tej scenie!

(czyta pod nosem, zastanawiając się).

„świat mnie przed tobą spotwarzy,
a tyś uwierzyć gotowa“...

(zamyśla się — po chwili)

Zmęczony jestem szalenie...

(Siedzące ponad głową jego na gałęziach biesy leśne potrząsają nad nim pękami maków i sennego ziela. Aktor zasypia... Zciemnia się coraz bardziej.)

WIATREK
(zaglądając z drzewa na śpiącego aktora)
Śpi już?

JAGODA
zasnął?

TĘCZKA
jakby głaz.

PERLIK
Jakieżby mu spłatać figle!

ZIELINKA
Niechaj weźmie każde z nas
po kolczastej głogów igle,
i nuż kłuć go w ręce, w twarz...

JAGODA
Myśl godna rozpustnych dzieci.

ZIELINKA
(z przekąsem)
O, ty pewnie lepszą masz!

PERLIK
To, czy owo, byle żart!

ZORA
Spieszmy się, bo noc uleci.

BOGINKA

Teatr mu pokażmy nasz.

INNI

(jedni przez drugich)

Po co? Na co? Czy on wart?!

POGŁOS

Cicho, cicho, bo się zbudzi.

BOGINKA

(przekrzykując wrzawę)

Aktor, pozna z kilku scen...

INNI

(przerywając)

Zgoda. — Nie chcę! — Rzecz skończona!...

PERLIK

A wstyd! Kłótnia, jak u ludzi!

BOGINKA

Niechajże się chociaż ten
z żalem i wstydem przekona,
o ile nasz leśny świat
wyżej od ich świata stoi.

ZORA

Przednia myśl.

POGŁOS

Bez długich rad!
koników polnych kapelę
wołać, niechaj skrzypce stroi.

ZORA

Szybko, bo czasu niewiele!
(chce wybiedz).

BOGINKA

Stój! ułóżmy podział ról:
jaskier będzie grał kochanka,

TĘCZKA

jasnowłosy, cały w złocie.

BOGINKA

dziewanna, królewna pól —
kochankę.

WIATREK

a macierzanka,
tragiczną matkę.

JAGODA

Stokrocie
są na naiwne dziewczęta...

PERLIK

a rolę starej bajczarki,
niech gra purchawka wyschnięta,

co wszystko dokoła plami;
łopuchy z grubymi karki
mogą zostać filistrami:
wszak łopuchów dość jest wszędzie.

TĘCZKA

Jeden z pustaków motyli
lekkim amantem niech będzie.

ZORA

Wystarczy personal tyli!
elektryczne oświetlenie...?

WIATREK

tem się zajmie księżyc łysy,

ZIELINKA

z mchu kobierce są na scenie,

BOGINKA

z kolumnady drzew — kulisy;

MGIEŁKA

z mgieł bladych będzie kurtyna,
rozpięta na łuku tęczy,

JAGODA

a na znak, że się zaczyna,
błękitny dzwonek zadźwięczy.

BOGINKA

(do śpiącego Aktora, pochylając się nad nim)

Zgłupiejesz, widząc te cuda!

PERLIK

byle nie otworzył powiek.

(Za sceną słychać głos Poety).

WSZYSCY

(uciekając)

Człowiek idzie! Człowiek! Człowiek!
Przepadło! Nic się nie uda!

SCENA IV.

(Wchodzi Poeta, podśpiewując sobie wesoło).

POETA

(śpiewa)

Szumią sobie dęby stare przy drodze,
kędy nocą do dziewczyny mej chodzę;
świecą gwiazdy, świecą złote nademną,
kiedy pukam w jej okienko w noc ciemną;
huczą wichry i zawodzą na dworze,
a my leżym, pierś przy piersi w komorze...

(urywa i mówi)

Ten skok się udał, lepiej być nie może;
fiakier w pędzie — łatwo było nogę

zwichnąć! Przysięgnę, że się obrazili;
pal ich sześć!... Chciała folgę dać po drodze
swej erudycyi — *in anima vili.*
Hola waćpanno!

(Zapala papierosa).

Że też ja nie mogę
odetchnąć wolniej ani jednej chwili!
Tam — w gazeciarskim kręcę się kieracie,
tutaj się człowiek wyrwał za rogatki,
chcesz być sam? Gdzie tam! Wpadają na cię
z krzaków i gwałtem ciągną do herbatki;
pragniesz posłuchać, jak las huczny gwarzy,
a tu ci wsadzą na kark pannę Jadzię,
co ci androny swoje w uszy kładzie...

(Potyka się na śpiącym Aktorze).

A to kto?

AKTOR

(budząc się)

„Świat mnie przed tobą spotwarzy..."

POETA

Kto tu?

AKTOR

Ja jestem.

POETA

Co za ja?

AKTOR

(zrywa się oburzony)

Mój panie!

POETA

(poznaje go i ściska za rękę)

To ty!

AKTOR

Jak się masz!

POETA

A, co za spotkanie!

Co ty tu robisz?

AKTOR

Uczyłem się roli
i sen mnie jakoś zmorzył niespodzianie.
W domu pracować trudno, bo o ścianę
jegomość jakiś cały dzień rzępoli,
podemną znowu ktoś na fortepianie
tłucze... Niestety!

POETA

(przypatrując mu się)

Chłopczysko kochane!
taki, jak wtedy, kiedy się do szkoły
chodziło.

AKTOR

Prawda! taki sam, jak wtedy:
i zapalony do sceny — i goły.

POETA

Co?! Śmiej się z tego.

AKTOR

Łatwo śmiać się z biedy,
kto jej nie ugryzł.

POETA

Ja? żyć nie mam za co!
rymami sobie w piecu palę w zimie.

AKTOR

Drukujesz dużo...

POETA

ale mało płacą.

AKTOR

(po chwili)

Przynajmniej sobie wyrobiłeś imię.

POETA

Prawda: „nasz młody, utalentowany..."
ale o tobie także recenzenci
piszą to samo. — Pewno całe ściany
masz zawieszone wieńcami.

AKTOR

Potrosze;
lecz bierz je kaduk! Niech się sztuka swięci,
choćby bez wieńców i choćby bez sławy!

Mieć dobrą rolę, co to za rozkosze —
ty nie wiesz; to mi okrasza mój krwawy
kawałek chleba; bo wtedy nie jestem
sam sobą. Dniami całemi tak chodzę
po świecie, jakby po ogromnej scenie:
twarzą i głosem i chodem i giestem
gram rolę moją.

POETA

„Wena", czy „natchnienie",
jak się tam zowie... Wiem i ja coś o tem:
ni ztąd, ni zowąd mózg się czemś zapłodni,
fantazya bryzga tęczami i złotem;
biega się wtedy przez parę tygodni,
jak pijanica lub jak opętaniec,
a zewsząd jakieś tłoczą się postacie —
pióro do ręki lgnie i po papierze
samo się puszcza w rozszalały taniec.

AKTOR

Na nowej scenie może w twym dramacie
jakim grać będę.

POETA

Pokusa mnie bierze,
by coś na deski dać.

AKTOR

Sztuka niegrana
jest jak ubranie, nim się je przymierzy:
sam krawiec nie wie, co warte. Z waćpana
tchórz, widzę.

POETA

Gdzie tam! Choćby sztuka padła,
cóż z tego? Padnie, to niech sobie leży.

AKTOR

Krytyka na to jest, żeby nam sadła
zalać za skórę. Niechaj prawdę powie,
to nic! Bo plaster taki, chociaż piecze,
lecz talentowi wychodzi na zdrowie —
Na własnej skórze...

POETA

(przerywając)

Słuchajże człowiecze:
ja się teatru i aktorów boję!

AKTOR

Od czegóż próby?

POETA

Mam rzucić na deski
to, com sam stworzył? całe światy moje?
Jam w mej fantazyi firmament niebieski,

łąki pachnące i zielone gaje,
ub mieszkań ludzkich rodzinne podwoje
miał tłem, dla żywych, czujących postaci —
a teatr... klatkę płócienną mi daje:
w niej wszystko więdnie, blask i zapach traci.
A gra! gdy ludzi, żywych ludzi tworzę,
to mam przed sobą ich ruchy, ich twarze,
słyszę w ich głosie każdą zmianę tonu,
czuję ich oddech. — Cóż z tego zostanie?
W grze — to się wszystko zatrze i zamaże,
wszystko się jakoś nagnie do szablonu,
wszystko...

AKTOR

(przerywając, chwyta go za rękę)

Przeciwnie, — cień, mara, widziadło,
na scenie w kształt się, w krew i kości wcieli.

POETA

Dla innych — pewnie! Lecz dla twórcy dzieła
to, w czem tkwił urok prawdy — to przepadło!

AKTOR

Ale kto tworzy, niech z wszystkimi dzieli
twory swej duszy. Panowie poeci
wam pisać tylko dla siebie — nie wolno!
słońce poezyi niech dla wszystkich świeci.

Chcesz macierzanką być — lub różą polną,
co sama sobie w ustroniu zakwita
i pachnie?

POETA

(zamyślony)

Prawda!

(po chwili)

Przyznasz mi nawzajem,
że własna wasza dusza, choć ukryta,
wyziera ciągle z tego, co my dajem
i że twarz wasza, wasz głos, wasze ruchy
w banalność typu...

AKTOR

Zgoda! lecz gdy wiecie,
że ten świat z płótna i z tektury kruchej
od prawdziwego taki jest odmienny,
czemuż tak często, w tym kinkietów świecie,
zapominacie o tem, że blask dzienny,
blask nagiej prawdy — rozprasza złudzenie?
Inne są życia, inne sztuki prawa
i prawda nieraz fałszem jest na scenie
a fałsz...

POETA

Fantazya stukształtna, jaskrawa
niech bryłę życia nagą i surową
stopi, przekuje...

AKTOR

(kończąc)

I wskrzèsi na nowo.

(Z głębi sceny wchodzi Kraków z siwą po pas brodą, koroną z murów na głowie, z herbem miasta wyszytym na piersiach — ubrany w długą opończę i podarty płaszcz królewski. Skórzana sakwa przez ramię. Staje na tle widoku Miasta, oświeconego już teraz księżycem).

POETA

(nie widząc go)

Droga do sztuki...

AKTOR

(spostrzega Kraków)

A to kto u dyaska?!

(Kraków zbliża się zwolna)

SCENA V.

POETA, AKTOR, KRAKÓW.

KRAKÓW

Bóg z wami — zacni panowie!

POETA

(przypatrując mu się)

Witamy.

AKTOR

Nos, brwi, broda, pyszna maska!

KRAKÓW

Czyli mnie ucho nie myli:
„droga do sztuki"... a kędyż ta sztuka?
Waszmościowie o niej mówili
przed chwilą — *tandem* skwapliwie przychodzę
i zapytanie wam czynię:
zali na dobrej k'temu jestem drodze,
bym tę odnalazł boginię?

POETA

Z kimże mam zaszczyt?

KRAKÓW

Mnie, mnie nie poznali!
jam Kraków, królewski Kraków —
ten, ku któremu zbliska i z oddali
drżą serca wszystkich Polaków!
Nad głową moją, nad tą głową białą
stuleci przeszedł dziesiątek —
z dawnych splendorów nic mi nie ostało,
okrom pamiątek
i purpurowych strzępów na łachmanie —
Hej czas! gdzieś z Wisłą czas płynie:
ja, który Królom dawałem mieszkanie
ich grobom stróżuję ninie.
Ongi bywało, gdy na wjazd królowi
we wszystkie dzwony zabrzęknę,

świat się od pereł ćmił, a złotych głowi:
piękne bo było to — piękne!
Długoby o tem gadać majestacie
dziś po nim jeno mam tyle,
iż zmaz nie noszę na żebraczej szacie,
ani pod sromem się chylę...
Cóżto rzec miałem... a! do rzeczy wrócę:
otóż, acz dziura w kalecie,
gmach sfundowałem Narodowej Sztuce,
a teraz szukam jej w świecie.
Języka dostać od Waszmościów tuszę,
ile żem słyszał....

POETA

Kto szuka
sztuki, niech patrzy poprzez własną duszę,
na świat szeroki...

AKTOR

Tego, czem jest sztuka,
nie wiem, lecz wierzę, że sztuka jest wszędzie,
a na serdeczne zaklęcie
sama się zjawi, z pod ziemi dobędzie.

POETA

Na każdym drogi zakręcie,
w domu i w polu, na ulicach miasta,
czy w samotności, czy w tłumie —

wszędzie tam sztuki rajski kwiat wyrasta,
gdzie dusza, która czuć umie,
wszędzie, gdziekolwiek...

KRAKÓW

(zdumiony niedowierzająco)

Tandem tutaj — w lesie...?
tam pod Maryackim kościołem?
W polach i gajach? — Bo to jakoś mnie się
nie widzi. — Chyba pospołem,
Wasze się na mnie zmówili!?
Wstyd! — a gdzież respekt?!

(chce odejść).

POETA

Ależ...

AKTOR

Jako żywo...!

KRAKÓW

Już dość mi tej krotofili!
Wszędy? — tu może?

(Pokazuje palcem na ziemię pod nogami).

POETA i AKTOR

I tu!

KRAKÓW

(obruszony)

Głowę siwą
na śmiech podają?

(odchodzi gniewny).

POETA

Cośmy zawinili?

SCENA VI.

(W miejscu, gdzie stał Kraków, ukazuje się Sztuka w białej fałdzistej szacie, z gwiazdą i wieńcem cyprysowym na czole).

SZTUKA

Jestem wszędzie,
gdzie dusza, która czuć umie:
w potoków szumie,
co biją o skał krawędzie,
na firmamentu tle,
w łunie wieczornych zórz,
w poranka srebrnej mgle,
w zapachu polnych róż,
w błyskawic krwawym pędzie,
i w drgnieniach ludzkich dusz —
jestem wszędzie!
Tym, którzy zdolni czuć
czar woni, dźwięków, barw,
z natchnionej myśli snuć
struny zaklętych arf,
i nosić w głębi dusz
fantazyi cały świat, —

tym daję moją moc,
tym wołam: „Wstań a twórz!“

POETA

Tyś Sztuka!

AKTOR

Biały rąbek twoich szat
rozjaśnia oczom naszym czarną noc,
o mów—rozjaśnij nam fantazyi cały świat!

POETA

O mów, czem jesteś ty i czem jest twoja moc?

SZTUKA

Jam tylko ust ludzkich tchnieniem,
dźwiękiem, zjawieniem tęczowem,
jam tylko pojęciem — imieniem,
jam lotnem słowem!

POETA

Lecz myśmy to święte słowo,
słowo „Sztuka“ — ukochali,
i jak za gwiazdą różową,
co nam świta gdzieś w oddali,
idziem blaskiem jej promieni
— jak średniowieczni gwiazdarze —
opętani i olśnieni.

SZTUKA

Za to dziś wam drogę wskażę —
to co jest moją istotą
w dziełach moich zobaczycie;
patrzcie oto!

AKTOR

Podniosła ramię do góry,
krąg miesięczny na błękicie
zakryły zielone chmury...

POETA

wyjrzał znów i mroki giną.

SZTUKA

Patrzcie tam, w tę głębię siną!

(W głębi, gdzie widać było perspektywę Krakowa w oświetleniu księżycowem, ukazuje się Prometeusz przykuty do skał — nad nim w kłębach chmur błyskawice. Sęp wyżera mu wnętrzności).

SZTUKA

Szorstkie, nagie, czarne skały,
a na granitowej ścianie
ludzki kształt, jak marmur — biały;
tam, pod nim urwisk otchłanie,
ponad nim głuche błękity;
tak leży w straszliwej męce

twardem żelestwem przybity
do skał za nogi, za ręce —
lecz z ust nie wyjdzie mu skarga!
— A sęp łysy rwie mu trzewie,
krzywy dziób w krwi jego szarga:
on w męczeństwa dumnym gniewie
milczy i w niebios okręgi
wbił szyderstw pełne źrenice,
gdzie elektrycznemi wstęgi
drgają Zeusa błyskawice...

POETA

Z nim cała ludzkość — harde syny ziemi
leżym na twardej skale Przeznaczenia,
Rzeczywistości kleszczami zimnemi
skuci.

AKTOR

Z pokoleń jednak w pokolenia
idą tytana porywy olbrzymie,
bo jego ducha my się nie zaparli:
w niebo się będziem wciąż po ogień darli —
ogień, któremu P r a w d a jest na imię!

SZTUKA

To pierwsze — wielkie Sztuki zagadnienie.

POETA

Znów mleczną lampę miesiąca
zgasiły chmur czarnych cienie

AKTOR

i widzenie się zamąca.

(Prometeusz znika zaćmiony cieniami chmur, które przepływają przez księżyc. Chmury odsłaniają się, w głębi widać puste wydmy piaszczyte, a wśród nich Faust i Mefisto).

SZTUKA

Niebiosa całe z ołowiu,
w chmurach słońce z twarzą błędną,
na suchych wydmach w pustkowiu
rude trawy schną i więdną;
wiatr kłęby kurzawy goni —
A tam, patrzcie — dwie postacie:
poznajecie wy, kto oni?
— Wy ich znacie — wy ich znacie!

POETA

Faust...

SZTUKA

W ślepym bólu się miota
i godzinę tę przeklina,
gdy wyszedł z matki żywota,
a przy nim twarz drwiąca, sina,
w której oczach — żary piekła.
Szczęście! ku tej złudnej marze
pierś jego tęsknotą spiekła

drgała w swych pragnień nadmiarze;
lecz cień wciąż chwytał w objęcia,
bo nad ksiąg spłowiałą kartą,
na białem łonie dziewczęcia,
wszędzie gorycz niezatartą,
wszędzie znalazł jad zwątpienia,
i przesytów ckliwe męty...

AKTOR

Szczęście! ta mara całe pokolenia
wiodła i wiedzie w łez i krwi odmęty!

POETA

Wszyscy cierpiący, wszyscy pokonani,
ci, których dola ręką swą macoszą
na dno zepchnęła czarej nędz otchłani,
dziś uznojone czoła swe podnoszą:
i oni — zanim Śmierć ich zimna zmiecie,
ze Szczęściem poznać chcą się i Rozkoszą,
oni, co żyją w podsłonecznym świecie
na to, by czół swych potem zraszać niwy,
albo, od dziecka przy maszyn łomocie
mdlejące mięśnie prężyć, jak cięciwy.
lecz przy ich boku, jak przy Fausta boku,
stoi kusiciel, Książę Nienawiści,
z błyskawicami piekielnemi w oku
i marą szczęścia, którego nie ziści —
budzi w ich sercach żądz i klątw pomruki.

SZTUKA

To dzisiaj Życia treścią jest i Sztuki!

(Podnosi ramię do góry, obłoki zaciemniają niebo, Faust i Mefistofeles znikają. — Po chwili rozjaśnia się, w głębi widać Hamleta z czaszką w ręku).

AKTOR

Hamlet! w zgorzkniałej, zapadniętej twarzy
wahań i zwątpień wyryte stygmaty
i wzrok, co ducha gorączką się żarzy...

POETA

bo razem z kirem tej żałobnej szaty
padło na jego bezsilne ramiona
Herkulesowe ołowiane brzemię,
gdy mara ojca własną krwią zbroczona,
z czeluści czyśca wyszła doń na ziemię.
O biedny, biedny, komu brakło siły,
by splugawiony ojców tron oczyścić,
komu się wielkie czyny tylko śniły,
ale nie stało ducha, by je ziścić!

SZTUKA

Wam, wielkich ojców synowie,
żadneż się widmo nie zjawia?
widmo w koronie na głowie,
ofiara zdrad i bezprawia?
Głos żaden smutny a święty

na was nie woła z pod ziemi,
narodu krwią przesiąkniętej?
Czyż nad głowami waszemi
nie wisi straszne pytanie:
być albo nie być? — Milczycie?
Milczcie! Niech odpowie na nie —
wasze życie!

(Poeta i Aktor stoją w milczeniu: Poeta zakrytą ma twarz rękoma, Aktor oczy w ziemię wbite — Sztuka podnosi ramię, chwila ciemności; Hamlet rozpływa się we mgle, poprzez którą przeziera sylweta Miasta, oświetlona blaskiem księżyca. Sztuka znika).

SCENA VII.

POETA, AKTOR.

AKTOR

Zniknęła gdzieś...

POETA

rozwiała się jak sen.

AKTOR

i mnie to wszystko, jakby snem się zdaje.

POETA

a mnie mozajką fantastycznych scen,
nad którą moja myśl w zadumie staje. —

AKTOR

Dla Sztuki tylko zawszem pragnął żyć,
lecz teraz wiem, że Sztukę z Życiem splata
nierozerwana nigdy niczem nić.

POETA

Dla Sztuki żyć, to znaczy żyć dla świata!

AKTOR

to z rajskich kwiatów zbierać krople ros,
dla ludzkich dusz, co w ziemskiej schną posuszy;
to znaczy mieć anielskiej surmy głos,
którego nawet gromów ryk nie zgłuszy!

(Długa pauza. – Świta).

POETA

Za garby wzgórz miesięczny zaszedł krąg,
przez drzewa, tam na wschodzie brzask się bieli,
opary ranne z mokrych wstają łąk —

AKTOR

i słońce wnet swym złotym grotem strzeli
do chmur i krwią je purpurową zbroczy,
i śpiącej ziemi w senne zajrzy oczy.

(W głębi widać perspektywę Miasta w oświetleniu wschodzącego słońca: mury, dachy, kopuły i wieże płoną coraz jaśniej różanym blaskiem).

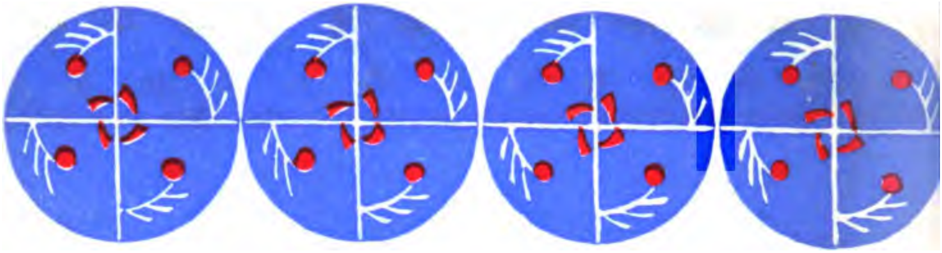
POETA

Już wschód! I słońce wybłyska
z za zrębów chmury ognistej —
topnieje gdzieś mgła opalowa
i falą świeżych tchnień
rozgania ją ranny prąd wiatru...

AKTOR

Już wschód! Nad murami Krakowa
promienny wstaje dzień
otwarcia nowego teatru...

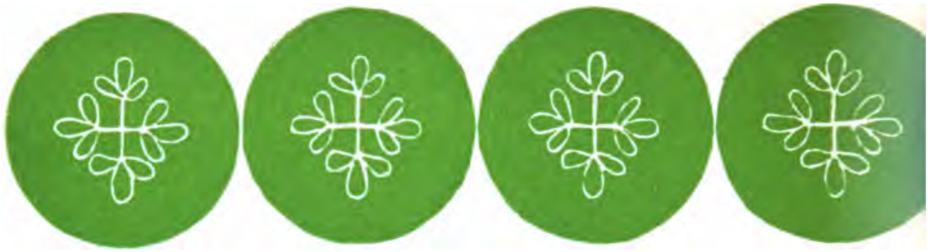
Kraków 1893.





EPILOG







EPILOG

UROCZYSTEGO PRZEDSTAWIENIA
W TEATRZE KRAKOWSKIM W DNIU
27 CZERWCA 1898 ROKU NA CZEŚĆ

ADAMA MICKIEWICZA.

Z podniesieniem kurtyny widac na pierwszym planie wielką ścianę z ciosowych głazów, która wypełnia cały otwór sceny — górą poważny architektoniczny fryz — niżej, po bokach dwa duże bronzowe wieńce. Kamienny łuk, bogato rzeźbiony w laurowe liście zatacza się od dołu półkołem, na którego szczycie marmurowy medalion Mickiewicza z maski pośmiertnej według Perault'a. Wewnątrz łuku wgłębia się scena i przedstawia kryptę Mickiewiczowską na Wawelu. Na środku sarkofag wysunięty ku widzowi — w głębi podziemia schody prowadzące do katedry, nad schodami w sklepieniu krypty drzwi otwarte. Widać przez nie częściowo gotyckie stropy i arkady kościoła, skąd pada przyćmione światło dzienne, zresztą pół-mrok zalega podziemie.

Na przodzie sceny, w głowach sarkofagu siedzi na kamiennym stopniu ANIOŁ GROBU *w długiej białej szacie z ogromnemi białemi skrzydłami. Przy nim na posadzce pali się grecka lampa. W głębi, po za sarkofagiem, na tle tylnej ściany i schodów, kilkanaście osób wszelkiego stanu i wieku: mężczyźni w surdutach, kapotach i sukmanach, parę kobiet w ubraniu miejskim i wiejskim z okolic Krakowa, dwie Ślązaczki, uczniowie gimnazyalni w mundurkach — dzieci. Przy sarkofagu*

kościelny świątnik w granatowej sutannie z pelerynką — trzymający grubą woskową świecę i pęk kluczy. Stojąc lub klęcząc, wszyscy patrzą w skupieniu na sarkofag, na którym leżą wiązki świeżych kwiatów i duży wieniec złoty. Dwie wychodzące panie mijają się na schodach z nowoprzybywającymi.

Z katedry dolatują stłumione dźwięki organów, które milkną niebawem. Od czasu do czasu przerywają milczenie półgłośne szepty. Mówiący nachylają się ku sobie, ale nie odwracają prawie oczu od sarkofagu.

. . . .
. . . .

NAUCZYCIEL

(do gimnazyalistów i Ślązaczek, które widocznie z nim przyszły)

Ten pogrzeb!... Wiecie!? — Głów płynąca rzeka...
nad nią ta trumna... kwiaty i modlitwy
i łzy i cisza...

(urywa wzruszony)

JEGOMOŚĆ *(w surducie)*

(do starego Litwina, który przysłuchiwał się słowom Nauczyciela)

Pan pewnie z daleka?

STARY LITWIN

(śpiewnym akcentem)

Jakoż nie zblizka...

JEGOMOŚĆ

Pan dobrodziej z Litwy?

STARY LITWIN

Z Wilna zjechałem.

JEGOMOŚC

Jakież tam nowiny?

STARY LITWIN

Ta złe...

JEGOMOŚĆ

Cóż słychać?

STARY LITWIN

Płacz... u Ostrej Bramy!

JEGOMOŚĆ

Wiecznie to samo!

STARY LITWIN

Boże-ż mój jedyny,
sto lat przetrwawszy — ta jeszcze przetrwamy —

JEGOMOŚĆ

Mógłby się od was uczyć naród cały.

NAUCZYCIEL
(przysuwając się)

My się na Śląsku bronim — jak Litwiny!

JEGOMOŚĆ

To pan ze Śląska?

NAUCZYCIEL

Nauczyciel z Biały!
(Świątnik dzwoni kluczami — wszyscy wychodzą).

ANIOŁ GROBU

(powstaje — roztacza pióra i lampę stawia na sarkofagu).

Bronzową płytą zamknęli grób,
gdzie leżą popioły Pieśniarza,
katedra głuche łoskoty stóp
echami w sklepieniach powtarza,
odchodzą już...

I katedralnych bram
spiżowe podwoje
z hukiem się zawarły,
lecz ja na straży trwam,
śmiertelnych prochów nieśmiertelny stróż —
i w ciszę grobu zasłuchany stoję...
W jasny krąg się rozpostarły
białe skrzydła moje
nad Mistrzem serc i Wodzem dusz,
co włada żywymi — umarły!

Wstąpiłem niegdyś w szlachecki dwór,
pod wiejską strzechę niską
i roztoczyłem anielskich piór
opiekę nad kołyską.
Płomienny powiew nadgwiezdnych sfer
w dziecięcia duszę tchnąłem
i krąg uwity z tęczowych skier
zajaśniał Mu nad czołem.

I odtąd za Nim stąpałem w ślad,
stróż myśli — niewidomy;
wiodłem Go w natchnień cudowny świat
przez ból i mrok i gromy.

W celi więziennej i na obcej ziemi
jam Tobie ciągle — Wygnańcze, Pielgrzymie —
szeptał najsłodsze Twej Ojczyzny imię
i wiecznie-m latał skrzydłami cichemi
na świętą Litwę, w rodzinne Twe strony,
by do pieśni Twej natchnionej —
gdzieś z litewskich puszcz i borów
znosić szumy, szepty, tony...
i z nad fali kłosów złotej,
z nad łąk, stawów i ugorów,
na piór moich śnieżnym puchu,
jam ptaszęce niósł szczebioty
i gwar żabich rozhoworów.
I rozbrzmiała w Twoim duchu —
z woni, dźwięków i kolorów,
pieśń miłości i tęsknoty...

A kościom Twoim w tułaczej mogile
spoczynek dałem, cień skrzydeł anielskich,
i tu Cię strzegę w podziemiach Wawelskich,
aż kiedyś wieko trumny Twej odchylę.

(po chwili)

Na obczyźnie skonałeś, samotnym tułaczem,
wróciłeś w tłumie ludu na kwiatach wieziony —
Tryumfator — milczeniem witany i płaczem —
Zwycięzca — bez oręża... Mocarz — bez korony!
Gdy Cię na sen ostatni kładli między Króle,
biły Ci wszystkie serca, grzmiały wszystkie dzwony,
a jam leciał nad Tobą w Twej słonecznej chwale...
I odtąd Twe popioły jako matka tulę
i niegasnącą lampę na Twym grobie palę!...

Płyta bronzowa nad wejściem uchyla się — po schodach zstępuje DUSZA NARODU, *postać niewieścia przyodziana w powłóczyste, białe szaty. Zarzucona na głowę czarna zasłona zacienia jej oczy i czoło, spływa z ramion w szerokich fałdach i ciągnie się za nią po stopniach. W ręku jej dopala się gasnący kaganiec. Schodząc powoli, ogląda się poza siebie w górę i mówi ku mrocznemu wnętrzu kościoła.*

DUSZA NARODU

Nie!... nie chcę patrzeć na te sarkofagi,
na te kamienne królewskie postacie,
pełne spokojnej i cichej powagi...
Z jakążbym twarzą — w tej żałobnej szacie —
mogła w oblicze spojrzeć tych mocarzy?
i co im powiem, gdy przed nimi stanę?
Im dawna wielkość we śnie wciąż się marzy,

wciąż berło dzierżą... z marmuru kowane...
Z marmuru tylko..! Niech śpią, niech spią twardo!
krzykiem boleści ja ich nie obudzę —
oniby może spojrzeli z pogardą
w łez pełne oczy — mnie, niewolnej słudze,
a potem... potem — gdybym wszystko rzekła,
drgnęłyby zgrozą kamienne ich twarze
i łza-by krwawa z oczu im pociekła...
Nie! niech śpią twardo — pogodni mocarze!

(schodząc do sarkofagu)

Z duszą do dna rozdartą, w żałobnem okryciu
do Niego idę, Jemu się poskarzę,
urodzony w niewoli, okuty w powiciu,
On pił już w mojej piołunowej czarze.

Ani Go we śnie jękiem nie przerażę,
ani się przed Nim wstydem nie zrumienię—
On wie, co zwyciężonych ból i poniżenie
i wie, jak prochom ciążą wygnańcze cmentarze.

ANIOŁ GROBU

Nie budź Go skargą! Cierpiał o ciebie tak wiele,
tobie żył, tobie śpiewał, o Duszo Narodu!
i miłość twą położył przed wszystkiem na czele,
przez nią ziemskiej miłości wyrzekł się za młodu,
a na starość ze łzami jadł swój chleb w popiele;
niech Go żal twój nie budzi sierocy.

DUSZA NARODU

A wiesz ty — Grobowy Aniele,
w jak czarnej ja błąkam się nocy?!
W mem ręku światło mdleje
i drży i dogorywa
i gaśnie.
Naród mój traci nadzieję,
miota się w mrokach i zrywa
i nie wie gdzie droga prawdziwa,
czemże mu noc rozjaśnię?

ANIOŁ GROBU

Ufajcie! — Wstanie zorza!

DUSZA NARODU

Nim nowy błysk rozdnieje,
zbłądzimy na bezdroża.
Choć łez moich, krwi mojej do lampy doleję,
nie ocknie się płomię gasnące...
gdy zgaśnie — kaganiec mój strącę
i w proch się o głazy rozbryźnie. —

ANIOŁ GROBU
(z groźnie wyciągniętą ręką)

Przeklęty, kto wątpiąc przyszłości swej kłamie,
przeklęty, kto ręce w rozpaczy załamie,
przeklęty, kto cofnie od służby swe ramię
Ojczyźnie!

DUSZA NARODU

(strwożona, obejmując ramionami sarkofag)

Błogosławiony, kto w ciemnościach wierzy,
błogosławiony, kto rozpacz uśmierzy,
błogosławiony, kto służy najszczerzej
Ojczyźnie!

ANIOŁ GROBU

(biorąc lampę z sarkofagu)

Duch Jego jasny w tej lampie goreje
i wiecznym blaskiem świeci,
weź ją — i w sercach rozpalaj nadzieję
i lud swój wiodąc przez twarde koleje,
rozpraszaj mrok stuleci!

(DUSZA NARODU *odebrawszy lampę z rąk* ANIOŁA, *zrywa z siebie żałobną zasłonę, szerokim ruchem odrzuca ją na zrąb grobowca i występuje na przód sceny — lampę dzierżąc wysoko ponad głową. — Cała scena rozjaśnia się nagle. Krypta przysłania się białemi liliami, na tle ich łodyg zielonych staje olbrzymia, złota lira, która wynikła z pod ziemi, w miejscu, gdzie stał sarkofag).*

DUSZA NARODU

(kładąc rękę na strunach, a w drugiej trzymając wysoko lampę).

Światło! światło z grobu niosę
mojemu ludowi —
z ócz niech otrze słoną rosę,

w sercach niechaj się odnowi
i wytęży ducha moce...
światło! światło niosę!

Wszystkim świeci to zarzewie:
kto w zwątpieniu się szamoce,
kto dróg w jasną przyszłość nie wie,
kto zabłąkał się w pomroce,
za mną! — oto światło niosę!

Polskę — w cztery świata strony
tem światłem ozłocę
i powiodę na zagony,
na szumiące, złotokłose
żeńców mych gromady;
w znoju będziem zbierać plony,
by napełnić puste gumno...

I pójdziemy w ciche sady
z drzew rodzajnych rwać owoce...
— Przyjdzie czas, gdy głowę dumną
wzniesie plemię to sieroce
i zasiędzie do biesiady:
włodarze i żeńce bose,
wszyscy razem rzeszą tłumną —
Światło! Światło! Światło niosę!

Z lampą wysoko w ręku podniesioną, zwraca się na lewo i zwolna postępuje wzdłuż proscenium. Równocześnie z prawej strony ukazują się gałęzie olbrzymich purpurowych róż, sięgające przez całą wysokość sceny, aż ponad górny fryz i suną się — po kamiennej ścianie — ku środkowi, jakby szły w ślad za postacią DUSZY NARODU. *W chwili, gdy odejść ma na lewo, występują naprzeciw niej ogromne krzewy róż białych i bladożółtych. Z góry spadają ogniste kwiaty nasturcyi — z pod ziemi podnoszą się pędy liliowych i białawych irysów. Cała scena od góry do dołu wypełnia się kwiatami, w pośrodku widnieje tylko wielki medalion Mickiewicza. Po za siecią powikłanych gałęzi i liści, — gdzie w tle przeziera szara ściana ciosowa — poczynają z góry padać bławatki i sypią się coraz gęściej. Gdy opadł deszcz bławatków, zniknęła równocześnie ściana i medalion, a natomiast w głębi, po za plątaniną gałęzi i kwiatów, widać seledynowy błękit nieba, usiany srebrnemi gwiazdami.*

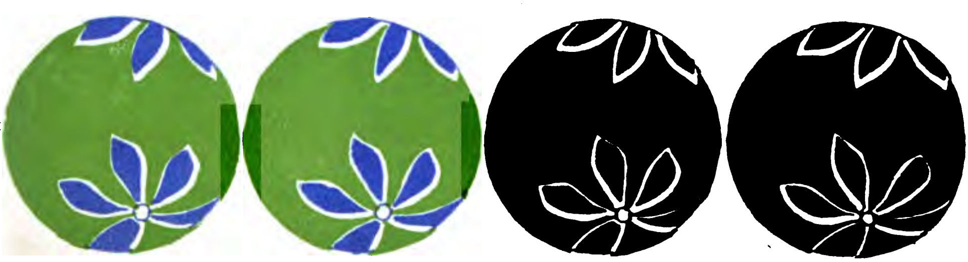
Złocista lutnia, która dotąd stała na przodzie sceny, wydaje z siebie dźwięk i wnosi się w górę, coraz wyżej i wyżej, a struny jej rozbrzmiewają coraz głośniej. Stanęła na tle gwiaździstego nieba wśród kwiatów tam, gdzie była głowa Mickiewicza i w tej chwili melodya liry potężnieje, wiąże się w akordy harfowe, które podejmuje pełna orkiestra w kilku tryumfalnych taktach...

KURTYNA.

Kraków, 22 czerwca 1898.

NA MARNE





NA MARNE

OSOBY:

MAJOR b. wojsk polskich.
ADAM, jego wnuk.
MATKA Adama, córka majora.
JANIA, kuzynka Adama.
PANNA ROZALIA, rezydentka.
JAN, służący.

Rzecz dzieje się w naszych czasach, na wsi we dworze u Matki Adama.

SCENA I.

MAJOR. PANNA ROZALIA.

(Major w płaszczu z drogi — staje w drzwiach ogrodowych. Panna Rozalia, spostrzegłszy go, kłania się trochę niespokojna).

MAJOR.

Gdzie moja córka?

PANNA ROZALIA.

pod wiązem w altanie
z paniczem.

(chce się wysunąć).

MAJOR
(chwyta ją za ramię, ostro).

Stój — mów mi zaraz, co się tutaj działo?
mów mi waćpanna...

PANNA ROZALIA
(bardzo zakłopotana).

Może pannę Janię
poprosić?

MAJOR.

Zostań! Ja chcę prawdę całą
znać, nim tam pójdę. Pytam się waćpanny,
co się tu działo?

PANNA ROZALIA.

O panie majorze,
sądny dzień...

MAJOR.

Słuchaj, czy ciężko jest ranny?

PANNA ROZALIA.

ciężko.

MAJOR.

a teraz..?

PANNA ROZALIA.

Miłosierdzie Boże
nad nami: lepiej mu jest...

MAJOR
(odetchnąwszy).

Bogu dzięki!

PANNA ROZALIA.

i Matce Boskiej... ja do Niej nowennę
odprawiam.

MAJOR.

Siada już zatem w ogrodzie? —
to dobrze. Tylko, że powietrze zmienne.

PANNA ROZALIA.

Doktor pozwolił

MAJOR.

A jakże, tak — w chodzie
tacza się?

PANNA ROZALIA.

Wodzić trzeba go pod ręce,
z łóżka do okna dowlec się nie może;
ja się potroszę koło niego kręcę,
to wiem: krok zrobi, już powietrze łapie
ustami.

MAJOR
(zgnębiony).

Tak to?!

PANNA ROZALIA.

Tak, panie majorze!
a do ogrodu nieść go na kanapie
muszą na słońce

MAJOR
(Po chwili, wzburzony).

I z tego przedemną
sekret robili. Do krocset! To przecie

moja krew! Taić... taić! Nadaremno:
to na językach biega już po świecie,
ja wiem od obcych...

PANNA ROZALIA.

Z racyi o zdrowie
i wiek podeszły miało się w sekrecie
trzymać przed panem...

MAJOR

Niech acanna powie
po prostu, żeście głowy potracili.

PANNA ROZALIA.

Pani bo była, jakby jej kto młotem
dał w ciemię. Była? Jest i do tej chwili,
a panna Jania! To dziecko ze złotem,
ze złotem sercem. Nie — ja nie zapomnę
co się tu działo... do grobowej deski!
wszystkie minuty w oczach mam przytomne.

MAJOR.

Jakżeż to było?

PANNA ROZALIA.

Ojcze mój Niebieski,
jak było? Dzwonią na drugie śniadanie —
gdzie Adaś? Strzela do celu od rana,
więc pani mówi Janowi: „mój Janie,

idź do ogrodu, proś do stołu pana“.
Na to panienka: „Ja pójdę“ powiada
i poszła... Wraca, skrwawione rączęta,
krew na sukience, twarz jak papier blada,
mówić nie mogła. Nasz strach! Matko święta!...
Biegniemy w ogród, przez klomby, przez krzewy!
leżał na trawie, na wznak — białe oczy
w niebo patrzyły — strzał poszedł w bok lewy...
Patrzę, a jemu z warg sinych się toczy
krwi cienka nitka...

MAJOR
(siadając, przygnębiony).
Biedne, biedne dziecko

PANNA ROZALIA.
Ano nieszczęście. Niedobrą szedł drogą:
wiecznie z tą książką francuską, niemiecką,
bo ja wiem — jaką? Oni tam nie mogą
pisać w tych książkach samych dobrych rzeczy...
A to potrzebne było? w obce kraje
ten wyjazd? Jechać, słuchać co tam skrzeczy
Francuz czy Niemiec w tej zamorskiej szkole?
Nic po tem!

MAJOR
(ironicznie).
Tak się waćpannie wydaje.

PANNA ROZALIA.

Ha, ja tam nie wiem... Dość, że po powrocie
nawet we żniwa nie wyjechał w pole,
ślęczał w dzień, w nocy. Czasem znów przy słocie
(ot jak mu przyszło) chodzi po szpalerze,
myśli a myśli, aż mu się na czole
poryły zmarszczki. Żal doprawdy bierze,
bo smutny był jak śmierć, odludek czysty!
Młody, z nazwiskiem, z majętnego domu —
a kto mu winien? Mędrki, socyalisty
i filozofy! Miał też wierzyć komu
jak im!

MAJOR.

Cóż znowu! To ma być powodem,
że się chciał zabić? Nie — tego nie bywa.
Jabym rozumiał, że tam w sercu młodem
kobieta jaka... miłość nieszczęśliwa...
Ale dla książek?!..

PANNA ROZALIA.

Może ja się mylę —
lecz nie kobieta! — Nie! toć panna Jania
zjechała do nas. Myślałam przez chwilę:
„Ta cię odmieni!“ Gdzietam? Do czytania
uciekał przed nią, kłaniał się z daleka,
nie spojrzał nawet! Panna jakby kwiatek:

oczy — dwie gwiazdy, twarzyczka — jak z mleka,
każdyby dla niej rzucił sto mężatek!

MAJOR.

Ale gdy serce do innej ucieka?!

PANNA ROZALIA.

Ha! Ja tam nie wiem; dość, że na ostatek
zrobił tę straszną rzecz...

(milczenie).

MAJOR

Prowadź mię waćpanna
do niego...

(zdejmuje płaszcz, który bierze panna Rozalia. — Po namyśle).

Lepiej proś tu córkę moję...
U niego nerwy są jak struna szklanna,
gdybym tak nagle przyszedł... ja się boję...

PANNA ROZALIA

(wskazując do ogrodu).

Panie majorze, niosą go. W altanie
usnął i niosą śpiącego do łóżka.

(zmierza ku drzwiom).

Pani tu będzie wnet. Ja idę — panie
majorze, pomódz

(wychodzi do ogrodu).

SCENA II.

MAJOR, zaraz potem JANIA.

(Jania wbiega drzwiami z prawej i biegnie po poduszkę, która leży na fotelu).

JANIA

(mówiąc za scenę).

Tutaj jest poduszka!

(spostrzega Majora).

Dziadunio!

MAJOR

Janiu!

(uściśnienia i pocałunki).

JANIA.

Dziadziu, ja uciekam,
bom tam potrzebna...

(bierze poduszkę).

MAJOR.

Idź, moje kochanie.

JANIA

(całując go w rękę).

Dziaduniu złoty...

MAJOR.

Idź, idź... Ja poczekam

JANIA.

Zostanę przy nim a przyślę tu ciocię.

(wychodzi na prawo).

SCENA III.

MAJOR

(sam, chodzi po scenie podrażniony).

Biedne kobiety! A, nie miał sumienia,
na matkę względu nie miał. W krwawem błocie
cześć szlacheckiego zaszargał imienia:
jakby sztafetą idzie między ludzi
całej rodziny wstyd!

(uderza pięścią w stół — nagle ogląda się na prawo).

Bo się obudzi
chore chłopczysko!

SCENA IV.

MAJOR. — MATKA.

(Matka wchodzi z drzwi na prawo, idzie spiesznie ku Majorowi. Rzucają się sobie w objęcia. Matka płacze cicho, ukrywszy twarz na piersi Majora. Długa pauza).

MAJOR

(ze łzami w głosie).

Moja ty dziecino,

uspokójże się, Zosiu! czy chcesz duszę
wypłakać?

MATKA
(płacząc).

Cóż ja winna łzom, że płyną?
Dotąd nie mogłam płakać — teraz muszę

MAJOR.

Uspokójże się...

MATKA
(dławi w sobie płacz i ociera oczy).

Już... już...

MAJOR.

Wielkie rzeczy
że młokos głupstwo zrobił — Młodzi, młodzi!
taki szaleniec mi się pokaleczy,
a matka potem od łez się zachodzi.
Cóż mu matczyne łzy?!

MATKA.

I moja wina
w tem być musiała. Matka odpowiada
za dzieci: widać nie umiałam syna
wychować.

MAJOR.

Broń go! Każda matka składa

na siebie winę. Niegodziwy chłopiec,
o niegodziwy! jak on śmiał to zrobić?!

MATKA.

Życie okropnie musiało mu dopiec...

MAJOR.

A, żeby zdrów był! Na dywanie obić,
tak pro memoria obić — po szlachecku!
Widzielibyśmy, czy w łeb sobie palnie!

MATKA.

A, żeby zdrów był!... Mój ojcze, w tem dziecku
ledwie się plącze duch, a co moralnie
przejść musiał przedtem...

MAJOR.

Ba, nikt się o lada
błazeństwo, lada farfurkę rozbitą
nie strzela. „Cierpiał — cierpiał!“ Ty niby to
gorzej nie cierpisz teraz?

MATKA.

Co tam o mnie.

MAJOR.

Ten chłopiec z tobą postąpił niegodnie!

MATKA.

Nie, ojcze — on to zrobił nieprzytomnie,
czyż on przytomnie mógł popełnić zbrodnię?

MAJOR.

„Zbrodnia?“ Cóż znowu? Któż mówi, że zbrodnia!
trzeba przyczynę znać!...

MATKA.

Mnie się już w głowie
miesza i niewiem nic.

MAJOR.

Wszak od tygodnia
Wciąż przy nim jesteś —

MATKA.

On sam nic nie powie,
a ja nie pytam, ja nie mogę pytać.

MAJOR.

A tak, w rozmowie?

MATKA.

My nie rozmawiamy:
wstydzi się tego, co zrobił... Wyczytać
mogłam to z twarzy. I mnie także samej
wstyd czegoś. — Czuję ciągle, że nas dzieli
coś, co przed sobą nawzajem kryjemy...
Jeszcześmy sobie w oczy nie spojrzeli;

ja na na głos czytam, on siedzi jak niemy;
albo mówimy o jego chorobie,
o niczem więcej — i zawsze to samo...
Prawda, raz w nocy, za ręce mnie obie
ścisnął i mówi: „Mamo, moja mamo!“
i pocałował mnie w ręce nieśmiało...

MAJOR.

A cóż ty na to? Wtedy trzeba było
mówić z nim.

MATKA.

Coś mnie za gardło złapało
i płacz zdusiłam w sobie całą siłą...
mówić nie mogłam.

SCENA V.

Ci sami. ADAM. JANIA. ROZALIA.

(Jania i Rozalia prowadzą Adama pod ramiona. Adam spostrzegłszy dziadka, staje w drzwiach onieśmielony i opiera się o futrynę, spuszczając oczy. Major mierzy go chwilę oczyma, potem zaraz idzie ku niemu spiesznie, z wyciągniętemi rękoma).

MAJOR

Adaś, chłopcze drogi...

(całuje go w czoło. Adam chce go w rękę pocałować, nie może, słania się).

MAJOR.

Trzymajże mnie się; ja ciebie pod ramię wezmę.

(prowadzi go razem z Janią).

PANNA ROZALIA

(za nimi z poduszką).

Nie prawda, że już nieźle nogi
stawia nasz Adaś? Przecie ja nie kłamię,
a wierzyć nie chciał Dziadunio Dobrodziej,
że Adaś...

MAJOR

(do Matki).

Prawdę, prawdę mówi szczerą:
nie chciałem wierzyć, że on tak już chodzi!

(Sadza go na fotelu przy drzwiach ogrodowych, gdzie Matka i Jania przygotowały siedzenie).

PANNA ROZALIA.

Toż Adaś wstaje trzeci dzień dopiero!

(wychodzi na lewo).

MAJOR.

Co znaczy młodość!

(długie, kłopotliwe milczenie)

MATKA

(poprawiając poduszki).

Tak ci niewygodnie.

ADAM.

Dziękuję mamie.

MAJOR.

Ja raz w lazarecie
z ran się lizałem przez cztery tygodnie,
a kiedy wreszcie wstałem, to mi przecie
nogi chodziły, jakby po kolędzie.

(milczenie).

JANIA
(zagaja rozmowę).

I sen jest nie zły...

MAJOR.

A nic tak nie krzepi,
jak sen

(milczenie).

MATKA.

Adasiu, czy ciebie nie będzie
Raziło słońce?

ADAM.

Nie mamo, to lepiej,
że słońce świeci — mnie dobrze na słońcu.

(milczenie).

MAJOR.

Wyspałeś mi się chłopcze. Od godziny
czekam i czekam. Już myślałem w końcu
zajrzeć do ciebie na palcach...

JANIA.

Jaśminy
pachną w ogrodzie, to pewnie uśpiło
Adasia

ADAM.

Może. Ale mnie odurza
samo powietrze...

MATKA.

Teraz tak przyjemnie
w ogrodzie.

JANIA.

Wczoraj nawet pierwsza róża
rozkwitła...

MAJOR.

Z wiosną, co roku się we mnie
odbywa dziwna, niepojęta zmiana:
nim przyjdzie odwilż, nim ziemia odmięknie,
już mi melduje wiosnę moja rana —
(zmywam ją wódką). A potem gdy pięknie
zaświeci słońce, lubię pić oczyma
światło i grzać się na cieple w południe,
dziękując Bogu, że minęła zima.
Więc w pole, w pole! Wiatr jakieś pobudki
wygrywa... jadę — role pachną cudnie,

ze śniegiem jakoś i nudy i smutki
stajały wszystkie... Aż mi serce rośnie,
gdy po raz pierwszy w pole idą pługi
i chciałbym śmiać się i krzyczeć radośnie!
Jest na co patrzeć, gdy przez mgławe smugi,
co się z wilgotnej, ciepłej skiby kurzą,
połyśnie lemiesz, tam jeden, tu drugi,
tam cały szereg. Niech orzą, niech orzą!
Może w tym roku ceny na jesieni
będą niezgorsze, a z pomocą bożą
dobrze się zbierze. Wiem ja, że się zmieni
potem na gorsze: że mi grad wytłucze,
lub rdza podrazi — lecz co roku z wiosną
łudzę sam siebie. Już się nie oduczę
tego, że we mnie nadzieje tak rosną,
jak wierzby: dziś je ogłowi siekiera,
a one jutro puszczą nowe pędy,
jak na złość — złemu!..

(spostrzega, że Adam podczas ostatnich słów zwiesił głowę na piersi).

Na sen ci się zbiera,
możem cię zmęczył? Dosyć tej gawędy!

ADAM.

Nie, nie dziaduniu, ja tak dla odmiany...
zwiesiłem głowę.

JAN
(we drzwiach na lewo).

Podane śniadanie!

(wychodzi).

(Wszyscy wstają prócz Adama i Jani, która siedziała przy nim podczas ostatniej sceny).

MAJOR.

Nie — ja z Adasiem! Mój chłopcze kochany,
my razem...

(chce usiąść).

MATKA.

Ojcze, Jania z nim zostanie.

(Wchodzi Rozalia z filiżanką bulionu na tacy. Wychodzą na lewo Matka i Major).

SCENA VI.

ADAM. JANIA. PANNA ROZALIA.

PANNA ROZALIA.

Proszę pić prędko, bo bulion wychłódnie.

ADAM
(z przeczącym ruchem głowy).

Dziękuję.

PANNA ROZALIA.

Łyżkę!

ADAM

Zostaw mię w spokoju
moja Rozalio.

PANNA ROZALIA.

Kapkę!

(Słychać dzwonienie na południe).

JANIA.

Na południe
dzwonią...

PANNA ROZALIA.

Już idę, już idę do doju,
ale panienko...

(daje znaki Jani, żeby skłoniła Adama do jedzenia, wychodzi drzwiami ogrodowemi).

SCENA VII.

ADAM. JANIA.

(Adam zadumany ponuro, z głową zwieszoną na piersi).

JANIA.

Nie, ja Adasiowi
wmuszać jedzenia nie chcę, bo zmęczony.

ADAM

(jak wyżej).

Nie...

JANIA.

Smutny może?

ADAM

(przed siebie).

Wierzbę się ogłowi
lecz z nową wiosną z pnia na wszystkie strony
puszczają świeże pędy. A te pręty,
które odcięto? Co się z nimi dzieje?
czy im odkwitnie znowu liść uschnięty?
Zamrą...

JANIA.

Nie zamrą! trzeba mieć nadzieję...
Przyjmą się — wierzby z nich wyrosną duże.

(milczenie).

Może kropelkę? Ja za to w nagrodę
coś Adasiowi przyniosę: tę różę,
ten pierwszy pączek. Włożymy go w wodę...

ADAM

(przerażony, gwałtownie).

Tę różę?! Nie chcę! Niech jej nikt nie ścina...
Nie chcę! — Niech kwitnie...

JANIA

(zdziwiona — bardzo łagodnie).

Byłabym o mało
przykrość zrobiła.

ADAM

(po chwili, nieśmiało).

Jest jedna przyczyna —
takie dzieciństwo!... Mnie się przywidziało,
że jeśli... Wczoraj przyszło mi do głowy,
gdym był w ogrodzie: czy ja też dożyję,
aż się ten pączek rozwinie różowy?
A jeśli wiatry albo ręce czyje
złamią go... wtedy... *(urywa).*

(milczenie).

JANIA

(błagalnie).

Niech Adaś przebaczy,
ja nie wiedziałam, że tem przykrość zrobię;
bardzo przepraszam.

(podaje mu rękę, którą Adam ściska).

ADAM.

Nie, nie, to ja raczej
przepraszam za to, że w mojej chorobie
mam przywidzenia tak śmieszne...

(milczenie — po chwili Jania bierze tackę z bulionem i zmierza ku drzwiom na lewo).

JANIA.

Na chwilę —
ja tylko bulion przed ciocią wynoszę:

zmartwiłaby się...

(staje w drzwiach).

Kuzynku — choć tyle!

(pokazuje palcem na filiżance).

Kłamać przed ciocią nie chcę.

ADAM.

Dobrze, proszę.

JANIA

(podaje mu filiżankę, którą Adam z trudnością podnosi do ust. Jania podtrzymuje jedną ręką filiżankę, drugą wsuwa pod głowę Adamowi, który wypija do dna).

Wszystko?! To dla niej!

ADAM

(patrzy na nią przenikliwie).

Nietylko dla mamy...

JANIA

(zmieszana).

Ja... ja... doprawdy...

(Chcąc pokryć zmieszanie, odchodzi i odstawia na stół filiżankę).

ADAM.

Przepraszam, że przerwę;
powiedz, dlaczego my sobie nie mamy
„ty“ mówić?

(Jania milczy, bardzo zakłopotana, za sceną słychać głos Majora trochę podniesiony).

SCENA VIII.

Ci sami. MAJOR. MATKA.

(Major, po śniadaniu nieco ożywiony, z fajką w ręku)

MAJOR

(do Matki).

Słuchać! ty idziesz w reżerwę!

Spać! spać!

MATKA

(prawie z prośbą).

Nie, ojcze!

MAJOR.

Ja tu mam komendę!

(wchodzi Jan z lewej z czarną kawą na tacy).

Zaraz po kawie — spąć!

MATKA

(uśmiecha się i przeczy głową).

(Major i Matka biorą filiżanki i siadają. Jan zabiera. tackę i filiżankę z bulionem i wychodzi na lewo).

ADAM

(błagalnie).

Z dziaduniem będę...

prześpi się mama? co?

(całuje ją w rękę).

MATKA.

Ja się położę,
ale nie usnę.

(wychodzi na lewo).

SCENA IX.

Ci sami bez MATKI.

MAJOR.

Janiu! do śniadania
jest rozkaz.

JANIA
(wstaje salutując).

Według rozkazu majorze!

MAJOR.

To lubię! rygor bez rozumowania.

JANIA.

Ale jak wrócę, to się dziadzio zdrzemnie?

MAJOR.

Już o tem potem.

JANIA.

Zobaczymy!

(wychodzi na prawo).

SCENA X.

ADAM. MAJOR.

MAJOR.

Jania
to dzielna panna. Onaby tu ze mnie
wkrótce zrobiła posłusznego dziadka:
jak się to droczy ze mną, a przymila...
i urodziwa — całkiem jak jej matka
nieboszczka. Ojca swego, Teofila
czasami znowu przypomina w ruchach...
(pauza).
Któż mógł przypuszczać, że ja nad sierotą
po nim — opiekę będę miał. W pieluchach
był, gdy na Węgry szedłem...
(po chwili, badawczo).
Mniejsza o to!
Chciałem cię spytać, czy tu w serce komu
Jania nie wpadła?

ADAM
(niespokojnie).
Jakto?

MAJOR.

Konkurenta
czy niema? Bywa tu może kto w domu

z młodych sąsiadów, kogo jej oczęta
ciągną magnesem?

ADAM
(apatycznie).

Nikt taki nie bywa.

MAJOR.

To dziwne.

ADAM
(machinalnie).

Dziwne...

MAJOR.

Panienka jak zorza
i wykształcona i taka poczciwa!

ADAM
(gorąco).

To prawda!

MAJOR.

Lecieć powinni z za morza
do niej. W dodatku jest ładny majątek,
bo i to nawet. — Nie, ja tej młodzieży
dzisiejszej pojąć nie mogę. — Gogątek,
zdechlaczków rasa, która w nic nie wierzy,
niczego nie chce. Ziewający z nudy
chodzą po świecie z ospałością bydła...

(zrywa się i wywijając fajką mówi rozpromieniony).

„Bez serc, bez ducha, to szkieletów ludy;
„Młodości, podaj mi skrzydła
„Niech nad martwym wzlecę światem!...“

(po chwili).

To była nasza młodość! Z moim bratem,
a Jani dziadkiem — w Żytomierzu byłem
w szkołach. Żytomierz!... Ojcowie Pijarzy!...
Mój Boże! Pamięć jak rak: chodzi tyłem...
Gdybyś ty wiedział, ile drogich twarzy
pamięcią widzę, gdy w te lata patrzę!
A ich imiona? zarastają w ziele
i chwast, a czas je za lat parę zatrze
na grobach. — „Razem młodzi przyjaciele!“
Dyabła tam razem! Po szerokim świecie
poszli w rozsypkę i mijały lata
i coraz częściej czytałem w gazecie:
„Umarł!“

(po chwili).

Lecz młodzież z nas była skrzydlata!..
Pamiętam, byłem wówczas w retoryce...
Tak, w retoryce byłem — Jaś w syntaksie...
w tem wieść buchnęła, wieść jak błyskawica
nagła, ogromna: Belweder! I jak się
tam było uczyć? ślęczeć w gramatyce,
czy w jeometryi, albo się w Maronie

ćwiczyć? — o Troi czytać i Ajaksie?...
Jeśli już o czem, to o Maratonie
lub Termopylach! Wszak Ojcowie sami
żyli w gorączce: codzień na mszy rannej
ksiądz Rektor trochę drżącemi wargami
mówił litanię do Najświętszej Panny,
choć nam nie gadał na intencyę czyją —
— Długie miesiące tak trwało... Aż wreszcie
przyszli! Grzmią trąby i bębny marsz biją:
cała brygada! Co za radość w mieście,
a cóż dopiero u nas! W pół godziny
konwikt był pusty, bo nawet z infimy
wszyscy pobiegli: ot, takie chłopczyny!
„Z czem przychodzicie?“ —„Służyć przychodzimy“
„Wy? Do konwiktu! Cóż po was, pędraki?!“
Nic nie pomogło; aż starszych pobrali
w rekruty. Ciążył karabin — lecz taki
byłem szczęśliwy i dumny! Ci mali
ciągnęli potem długi czas gromadnie
za nami. Ilu nasze tylne straże
podniosły potem półżywych na drodze,
ilu z litości żołnierz po sucharze
dawał! Aż w końcu...

SCENA XI.

Ci sami. — JANIA
(w drzwiach).

JANIA.

Dziaduniu, przychodzę...

MAJOR

(z początku zbity z tropu i niezadowolony jej wejściem, potem nagle wpada na pomysł).

Teraz nie możesz. Nie wszystko wypada
mówić przy pannach...

JANIA

(wychodzi, zamykając drzwi za sobą).

SCENA XII.

ADAM. MAJOR.

ADAM

(zdziwiony).

Dlaczegóżby Jania?...
wszystko, co dziadzio mnie tu opowiada...

MAJOR

(zakłopotany gładzi ręką włosy).

Bo to... Ja z tobą mam do pogadania
o jednej rzeczy...

(*wstaje, przechadza się, przystaje, znowu chodzi, spoglądając ukradkiem na Adama*).

MAJOR

(nagle, stając przed niem).

Bodaj wszyscy dyabli
te wywijasy językowe wzięli!
Ja — człowiek prosty, od pługa i szabli,
chciałem jedwabnych z tobą ceregieli
użyć... Kobiety — widzisz — z tym zamiarem
powyprawiałem, ale... do kaduka!
sam się splątałem w tem wspomnieniu starem.
Nie, dyplomacya — to nie moja sztuka!
Wolę po prostu...

(milczenie).

(bierze Adama za rękę).

Powiedz, wszak masz ku mnie
serce i męzkie, szczere zaufanie?
bo chcę otwarcie z tobą i rozumnie
mówić — wiesz o czem!

ADAM.

Wiem...

MAJOR.

Zatem pytanie
zbyteczne.

(siada).

Słucham...

ADAM.

Cóż ja powiem dziadzi?...

MAJOR.

Powiesz mi prawdę. Wiem, że mnie i tobie
ciężko to będzie — lecz prawda nie wadzi
nigdy. Wiesz przecie, że tego nie robię
dla nakarmienia głodnej ciekawości,
która chce palce wtykać w cudze rany:
ja obowiązek mam — wiedzieć... Im prościej
powiesz, tem lepiej.

ADAM.

Mój dziadziu kochany,
choćbym powiedział wszystko — to daremnie,
nie zrozumiemy się.

(Major porywa się na równe nogi).

MAJOR.

Bo siwe włosy
mam, a ty ciemne? A wiesz ty, że we mnie
więcej młodości, niż mają młokosy?!
młode mam serce, choć biała czupryna!
Tak, wam się zawsze wydaje — wy młodzi,
że świat się od was dopiero zaczyna.
Cóż wy myślicie, że się człowiek rodzi
dziadkiem? że nigdy nie był—jak wy—młody?
dlatego, że go bez zmarszczek na czole

nie pamiętacie?!

(milczenie).

Są chyba powody,
które ci usta kneblują. Ja wolę,
że mi wprost powiesz: „Mam cudze sekreta,
których wyjawić honor mi zabrania."
Ja to rozumiem, że jeśli kobieta
w grę wchodzi — —

ADAM.

niemam nic do ukrywania,
żadnych tajemnic, żadnych romansowo —
tkliwych awantur...

MAJOR
(zdumiony i zaciekawiony).

A zatem przyczyna...?

ADAM.

Przyczyna we mnie samym. Z własną głową
i z własnem sercem wieczna szarpanina,
a w duszy pustka...

MAJOR
(poruszony).

Przecież tobie z domu
dano zasady — w ideałach, w wierze
cię wychowano...!

ADAM.

Czyż można dać komu,
co człowiek tylko z własnej duszy bierze?
co każdy musi dobyć z swego wnętrza?

MAJOR.

Jakto? więc wszystko to, co w dziecko wpoi
matczyna miłość, choćby najgorętsza
jest niczem?!

ADAM.

Szkoda było matki mojej
dla mnie! Ja nie wiem... w moim charakterze,
w moim umyśle... jest rdza, co rozkłada
wszystko od podstaw.

MAJOR
(zbity z tropu).

Przyznam ci się szczerze,
że nie rozumiem — lecz mnie strach opada!
(po chwili)
Czy się w socyalizm wplątałeś? Bezdroże
mrzonek i bredni...!

ADAM
(z ironicznym uśmiechem).

Gdybym ja miał wiarę
choćby w te „mrzonki"... Szczęśliwy, kto może

dla wiary w nowe, — burzyć głupstwo stare
lecz ja nie mogłem, bo we mnie zakrzepły
wnętrzności serca — byłem na pogrzebie
wszystkich mych złudzeń. Jak wróbel oślepły
o ściany zwątpień próżno głową tłukę...
A jednak wierzyć w coś trzeba — na niebie
albo na ziemi: w Chrystusa, w naukę,
w ludzkość, w cokolwiek, choćby tylko w siebie...
Ja niemam wiary!

MAJOR.

Toż to są owoce
nauki! Talent wzbogacony wiedzą...

ADAM

(przerywa z goryczą).

A cóż ja winien? Ci, co dni i noce
strawili w pracy — niech mi odpowiedzą
na zapytanie: co po tej latarni,
w której światełko łojówki migoce,
na to, by w koło jeszcze było czarniej
oczom tonącym w bezdennej pomroce?

MAJOR.

Więc nic już niema godnego miłości,
ofiar, poświęceń?

ADAM.

Tak, w waszej epoce!...

Wy — wyście byli gorący i prości,
wyście przeżyli wszystkie ideały,
wszystkie złudzenia i wszystkie zachwyty,
a nam dziś po was popioły zostały
i zjałowiony grunt serc i przeżyty.
Niech się w nas czasem ozwą jakie echa
marzeń i tęsknot, to się na nas krwawo
mści przyczajony w naszych mózgach cynik,
szydząc: „Udajesz romantyka!? Brawo!
reminiscencyi poetyckich wynik
niezły! Ach, gdyby cię jaka kobieta
widziała, gdy tak nad sobą się żalisz,
podobny smętną twarzą do Hamleta“...
— Drwiny z samego siebie, to paraliż
uczuć i woli.

MAJOR.

Tożbym się z tej pleśni
starał otrząsnąć!

ADAM.

Nie mogłem...

MAJOR.

To znaczy
niedosyć „chciałem...“ Szkoda! gdybym wcześniej
mógł o tem wiedzieć, byłoby inaczej
z tobą. — Nieszczęście ludzi czasem łamie,

częściej wyrabia. Tobie — z łaski Boskiej
za dobrze było — przebacz mi Adamie,
tyś nigdy nie znał rzeczywistej troski,
jak ja we Francyi. Zepsuł cię dostatek!
bo cóż? ptasiego chyba tylko mleka...
i rozpieściła cię najlepsza z matek,
aż się stał z ciebie moralny kaleka
bez siły ducha. Dlaczegóż ci biedni,
którzy zdobywać muszą chleba kawał,
nie upadają w swej trosce powszedniej?
A tyś się poddał?

ADAM.

Czym się ja poddawał?
Przemyśliwałem nocami całemi,
jakby się wyrwać z tego — i tak mocno
postanawiałem... Nie, niema na ziemi
sposobu na to, żeby bezowocną
myśl w czyn zamienić. Dziadziu, ja z miesiąca
na miesiąc czułem, że mi wola słabła
i że mnie jakaś ciężka ręka strąca
niżej i niżej... gdzieś w bezdeń...

MAJOR.

Do dyabła!
toż to choroba -- choroba prawdziwa.

ADAM.

Miałem ja dawniej ambicye, dążenia...
chciałem — — I patrzeć jak wciąż mi ubywa
woli, jak zapał w martwotę się zmienia
i jak pomału wszystkie iskry gasną —
nie — nie! to było nie do wytrzymania...
chciałem przed sobą uciec...
(milknie bardzo wzruszony i zakrywa twarz rękoma).

MAJOR
(ze współczuciem).

Adaś!

(długie milczenie).

ADAM
(uspokoiwszy się, cicho).

Jania
powiada do mnie w przeddzień przy obiedzie,
czybym nie wybrał się z nią jutro zrana,
bo przed śniadaniem do ochronki jedzie.
Przyrzekłem, choć ta dziatwa rozigrana
drażni mię wrzawą. Nazajutrz dzień mglisty,
cmentarny jakiś... przez tę błotną drogę
mam jechać? Mówię, że mam pilne listy
pisać na pocztę, więc jechać nie mogę.
Przykro jej było — widziałem. Lecz sama
wsiadła w tarantas. Uciekłem do siebie

i drzwi zamknąłem na klucz, żeby mama
nie weszła do mnie. Siedzę tak i grzebię
we własnych myślach: więc i tyle we mnie
niema już woli, by wymódz na sobie
taką drobnostkę? Spadłem tak nikczemnie,
że com chciał wczoraj, tego dziś nie robię?
I wstręt poczułem do siebie. A przytem
upokorzeniem czuł przy tej dziewczynie —
ja, który jestem lichym pasożytem!
Ona chcieć umie — jej zapał nie minie,
jak dym: ochronkę ma i zakonnice
i w to, co robi, całą duszę kładzie —
a mnie z rąk leci, czego się pochwycę...

(po chwili).

Otwarłem po coś do biurka — w szufladzie
błysnął rewolwer...

MAJOR

(przerywając).

Wiem resztę.

(Długie milczenie, Adam wyczerpany rozmową).

To życie
Bóg ci darował

ADAM.

Żyć!.. żyć! ja żyć muszę!
Nic więcej, tylko słońce na błękicie

widzieć, oddychać, patrzeć. Ja w tę głuszę
czarną iść nie chcę. Śmierć — nie! ja się boję
tego! Tu ciepło jest w tem świetle złotem,
tu dobrze, pięknie!

MAJOR

(chwytając go za rękę).

Prawda? dziecko moje,
prawda? jak dobrze!

ADAM

(spochmurniał, potem nieśmiało).

Gdyby dziadzio — potem
mógł jakoś... mamie... ja się nie odważę
nigdy sam na to... ja ją tak ogromnie
skrzywdziłem.

MAJOR.

Zaraz! Chcesz? poprosić każę
matkę?

ADAM.

Mój dziadziu, wiem, że mama do mnie
żal ma —

MAJOR.

Dzieciaku! czy ty znasz matczyną
miłość?!

(wychodzi, po chwili wraca z Matką).

SCENA XIII.

ADAM, potem MAJOR, MATKA.

MATKA

(bardzo wzruszona, nie pozwala mu mówić).

Już dobrze!.. Adasiu... dziecino! —

(chce go uściskać, ale Adam podnosi się na rękach, obsuwa się z fotelu na kolana i obejmuje rękoma jej nogi. Matka i Major chcą go podnieść).

Adaś! co robisz? — Zemdlał! Boże wielki... ratunku!

MAJOR

(dzwoniąc gwałtownie).

Janie!

SCENA XIV.

Ci sami. JANIA. JAN.

MAJOR.

Janie! tu! z pomocą!

(Wynoszą Adama do pokoju na prawo).

JANIA.

Wody! gdzie woda?

JAN

(porywa ze stołu pustą karafkę).

Tu ani kropelki...

(wybiega na lewo).

MAJOR

(wychyla głowę z drzwi na prawo).

Octu!

(znika za drzwiami. — Jan powraca z wodą).

JANIA

(odbierając od niego karafkę).

Po ocet!

(wybiega na prawo).

JAN.

Mnie ręce dygocą!

(wybiega na lewo).

SCENA XV.

(Scena przez chwilę pusta. We drzwiach ogrodowych staje PANNA ROZALIA *nie wiedząca o niczem. Niesie w ręku świeżo zerwany pączek róży i chce go podać Adamowi. Spostrzega, że fotel pusty i staje zdziwiona. W tej chwili za sceną w pokoju Adama okropny nieartykułowany jęk Matki. Panna Rozalia wzdryga się, obraca głowę w stronę, skąd jęk doleciał i upuszcza różę przerażona).*

(Zasłona).

Berlin 1895.

ERRATA.

Str. 19,	wiersz 15 od góry:	*siedm*	czytaj:	*siedem*
„ 21,	„ 10 od góry:	*wądę*	„	*wodę*
„ 30,	„ 2 od dołu:	*Swityna*	„	*Śwityna*
„ 36,	„ 4 od dołu:	*każ dziada*	„	*każ dziada!*
„ 50,	„ 3 od dołu:	*niosą*	„	*niosę*
„ 53,	„ 10 od góry:	*niemictwa*	„	*niemiectwa*
„ 58,	„ 11 od góry:	*nieszczęście*	„	*nieszczęśnice*
„ 66,	„ 3 od góry:	*w tej lirze*	„	*w tej liry*
„ 104,	„ 2 od góry:	*ub*	„	*lub*
„ 108,	„ 3 od góry:	*o tem*	„	*o tym*
„ 127,	„ 1 od góry:	*widac*	„	*widać*
„ 134,	„ 2 od góry:	*spią*	„	*śpią*

	DATE DUE		